M.E. im. S. W. Łódź

Cena 1 zł nr 41

odgłosy

TYGODNIK ŁÓDZKI

Rok I. ŁÓDŹ, dn. 7 grudnia 1958 r.

WIESŁAW MACHEJKO

DALEJ na koń, hurra!

Co to jest koń? „Koń" — jest to kabaret literacki. A co jeszcze? Koń — jest to przyrząd gimnastyczny, podobny do konia, służący już za rzymskich czasów i w średniowieczu do woltyżerki tj. ćwiczeń w jeździe konnej. A co jeszcze? Koń (łacińskie Equus, rodzina Equidae) rodzina kopytnych, która w pleistocenie występowała kosmopolitycznie.

Słowem:

KOŃ TO ZWIERZAK,
ANIMAL
RŻY I WIERZGA
PATRZY W DAL.
K. I. Gałczyński

Skoro wiemy już kto zacz, słowo od autora. Otóż autor wymyślił sobie, że reportaż niniejszy poświęcony koniom i jeźdźcom ilustrowany będzie nie tylko zdjęciami, ale również cytatami z literatury pięknej i mniej pięknej. Chodzi o to, by cytatów tych nauczyć się na pamięć, bo zawsze przyda się to w towarzystwie na imieninach, gdzie mile widziana jest erudycja, znajomość przedmiotu, czyli konia, a czasem nawet dowcip. Przyda się też być może w *literackim kabarecie*... Ale teraz wracajmy do konia, koń bowiem jest podmiotem tego reportażu.

„I CUDOWNY NASZ KOŃ
WEJDZIE NA ŚWIEŻĄ BŁOŃ..."
(Z pieśni masowej)

Będziemy mówić głównie o koniach stanowiących własność Łódzkiego Klubu Jeździeckiego. Teraz przedstawiam je kolejno.

Dante i Haverlock. Ciężkie konie wschodnio-pruskie przeznaczone dla jeźdźców ważących nawet więcej niż 100 kg. Na szczęście jeźdźców takich w Łodzi nie mamy.

Oto Smoker. Pół krwi anglo-arab z zawodu nauczyciel... jazdy. Kogo uczy? Jeźdźców. On zrobi za ciebie wszystko czego nie potrafisz. W wojsku takie ko-

Dokończenie na str. 5

KUP KONIECZNIE NASTĘPNY NUMER „ODGŁOSÓW"

MOŻE TO WŁAŚNIE TY
WYGRASZ
MIESZKANIE

JUŻ W NAJBLIŻSZYM NUMERZE NASZEGO TYGODNIKA ROZPOCZNIEMY DRUK MATERIAŁÓW WIELKIEJ AKCJI PUBLICYSTYCZNO-INFORMACYJNEJ POD HASŁEM

„WSZYSTKO O MIESZKANIACH"

W CYKLU REPORTAŻY I ARTUKUŁÓW INFORMACYJNYCH ZNAJDZIECIE ODPOWIEDŹ NA INTERESUJĄCE WAS PROBLEMY Z DZIEDZINY NOWEJ POLITYKI MIESZKANIOWEJ:

- **Komu przysługuje mieszkanie z „kwaterunku"?**
- **Czy opłaca się oszczędzać na mieszkanie?**
- **Domki jednorodzinne czy bloki mieszkalne?**
- **Do jakiej spółdzielni mieszkaniowej wstąpić?**
- **Kto Ci NAJPRĘDZEJ zapewni mieszkanie?**

JUŻ ZA TYDZIEŃ PIERWSZY KUPON WIELKIEGO KONKURSU

PRZEZ CAŁY CZAS TRWANIA NASZEJ AKCJI BĘDZIEMY DRUKOWAĆ

PYTANIA KONKURSOWE

UCZESTNICY KONKURSU, KTÓRZY ODPOWIEDZĄ NA WSZYSTKIE PYTANIA — MOGĄ WYGRAĆ

CENNE NAGRODY
i NAGRODĘ SPECJALNĄ
MIESZKANIE

UWAGA! *UWAGA!*

ZBIERAJCIE SKRZĘTNIE EGZEMPLARZE „ODGŁOSÓW" Z PUBLIKACJAMI NASZEJ AKCJI. ZADANIA KONKURSOWE BĘDĄ DOTYCZYĆ CZĘSTO MATERIAŁÓW, DRUKOWANYCH W POPRZEDNICH NUMERACH PISMA.

O spór o klucze do miasta Kutna

WIESŁAW JAŻDŻYŃSKI

Przez długi czas nie mogliśmy znaleźć klucza do miasta Kutna, nie jestem zresztą pewien, czy znaleźliśmy go w ogóle. Oczywiście, chodzi o klucz w znaczeniu umownym, szukaliśmy jakiegoś podstawowego i charakterystycznego tylko dla Kutna problemu. Problemu miasta, w którym żyje ponad 26 tys. ludzi.

Od samego rana myszkowaliśmy po mieście, zeszliśmy się dopiero po południu w restauracji „Polonia". Władomości, bardzo zresztą różnorodnych, nie brakowało nam, brakowało jednak owego klucza.

— Dużo tutaj czytają — zauważył Jarosław Rymkiewicz — a to dlatego, że obywatele Kutna nudzą się jak mopsy. Jedno kino, panowie, czasem objazdowy teatr, inteligencja zatomizowana, absolutna niemożność kulturalna.

DALSZY CIĄG str. 6

co myślą ANGLICY O NIEMCACH

JAN-KOPROWSKI

W potocznej opinii Anglicy uchodzą od dawna za przyjaciół Niemców. Pogląd ten, rozpowszechniony nie tylko w Polsce, wydaje się być niezupełnie zgodny z prawdą. Naturalnie są w Wielkiej Brytanii ludzie, którzy żywią zainteresowanie i sympatię dla narodu niemieckiego. Zwłaszcza politycy angielscy, kierujący się trzeźwym rozsądkiem i względem na własny interes, widzą korzyści w zacieśnieniu stosunków z Niemcami.

Co innego jednak polityka, co innego opinia społeczna. Ostatni rok, rok 1958, dostarczył wielu dowodów na to, że trudno jest mówić o przyjaźni między Anglikami i Niemcami. Chciałbym wskazać tutaj głównie na trzy fakty: książkę Roberta Vansittarta „The Mist Procession", wizytę prezydenta NRF — Teodora Heussa w Londynie oraz wywiad tygodnika hamburskiego „Der Spiegel" z publicystą angielskim Williamem Connorem.

Zacznijmy od książki Vansittarta. „The Mist Procession" to autobiografia, w której autor — znany dyplomata brytyjski — opowiada o swoim życiu, pracy i działalności. Jego wywody przepojone są krytyką polityki niemieckiej i goryczą, że z jego rad i ostrzeżeń nigdy na ogół nie korzystano. O Niemcach wyraża się z sarkazmem i nie szczędzi im surowych ocen przy każdej okazji. „Niemców trzeba trzymać krótko" — oto hasło, głoszone stale przez Vansittarta. Gdy Hitler doszedł do władzy w r. 1933, Vansittart opracował obszerne memorandum, w którym przedstawił niebezpieczeństwo grożące Europie. Były to przepowiednie prorocze: w memorandum pisał o polityce podbojów niemieckich przewidując napad na Austrię, Czechosłowację, Polskę i Francję z podziwu godną dokładnością. Niestety nikt nie traktował jego przestróg poważnie. Gdy dowodził, że „Niemcy zawsze, gdy nie mają racji, zachowują się tak, jakby wszyscy naokoło ich krzywdzili" — przyjmowano to jako aforyzmy sfanatyzowanego wroga Niemiec. Nic też dziwnego, że na końcowych stronach swej autobiografii Vansittart wyznaje: „Mało osiągnąłem, ale wiele widziałem. Nie przypominam sobie żadnej poważniejszej sprawy, w której by postąpiono wedle mojej rady". Vansittart zmarł w r. 1957. Wszystko zdaje się wskazywać, że przecież słowa jego i przestrogi nie poszły całkiem na marne. Chłód, z jakim ulica londyńska przyjęła wizytę Heussa oraz cierpkie i krytyczne uwagi wielu publicystów, świadczą, że opinia angielska odnosi się do Niemieckiej Republiki Federalnej z rezerwą, żeby nie powiedzieć — nieufnie.

Wymowne pod tym względem są uwagi prof. Taylora na łamach „Sunday Express". Taylor sprzeciwia się rewizytowaniu przez królową Elżbietę II prezydenta Heussa. „Co innego — pisze Taylor — utrzymywanie dobrych stosunków z państwem niemieckim, a co innego przyjaźń ze wszystkimi Niemcami, przyjaźń z ludźmi, którzy zarządzali komorami gazowymi, przyjaźń z lekarzami, którzy eksperymentowali na żywych organizmach. Przyjaźń należy odłożyć do czasów, kiedy wymrze pokolenie, które służyło Hitlerowi". W końcu swego artykułu prof. Taylor konkluduje: „Jeśli królowa musi koniecznie złożyć wizytę oficjalną, niech pojedzie do Polski. Polacy są naszymi najlojalniejszymi sprzymierzeńcami. W przeciwieństwie do Niemiec, w Polsce nie trzeba się zastanawiać, komu można podać rękę".

Jak na dyplomatycznych Anglików — ostro powiedziane. Ostro i otwarcie, bez żadnych stylistycznych zaokrągleń. Głosów podobnych było więcej i do dziś opinia NRF, oczekująca sukcesów po wizycie londyńskiej Heussa, przeżywa nie lada „katzenjammer". Nie tak wyobrażano sobie przebieg i rezonans tej wizyty. Miary wszystkiego dopełniła wypowiedź Williama Connora, pisującego w „Daily Miror" pod pseudonimem Cassandra. Tygodnik hamburski „Der Spiegel" przeprowadził z nim wywiad na temat Niemiec. Nigdy nie zdarzyło mi się czytać tak zwięzłych i pozbawionych wszelkich konwencjonalnych względów wypowiedzi. Connor rąbał interviewującym go dziennikarzom niemieckim prosto z mostu, co sądzi o ich narodzie. Po stwierdzeniu, że pogardza narodem, który wojnę traktuje jako swoje stałe rzemiosło, dodaje: „Moja pogarda wyraża się w niechęci do wszystkiego, co ma stempel niemiecki i do wydarzeń rozgrywających się w Niemczech". Na pytanie dziennikarzy, co sądzi o przyszłości, Connor odpowiada: „Nie pragnę niczego więcej, jak tylko widzieć Niemców zamkniętych na 50 lat w lodówce". Publicysta angielski nie wierzy w możliwość przyjaźni z Niemcami za życia naszego pokolenia. Zbyt wielkie i zbyt świeże są rany, jakie nacjonaliści niemieccy zadali Europie.

„Fałszywie ocenia się charakter Brytyjczyków, jeśli się sądzi, że moglibyśmy ściskać się z Niemcami" — mówi Connor. Dziennikarze niemieccy próbowali w owym wywiadzie polemizować z nim, wytaczali kontrargumenty. Connor był nieprzejednany. „Jestem przeświadczony — wyznał — że Niemcy posiadają fatalną skłonność do agresywnej polityki".

Wywiad z Connorem to surowa lekcja udzielona narodowi niemieckiemu. Zapewne można by się o wiele rzeczy z nim pospierać, na przykład o widzenie narodu jako pewnej ponadhistorycznej, nie podlegającej przeobrażeniom całości. Przecież istnieją Niemcy Demokratyczne, a i na Zachodzie nie brak także uczciwych. Nie można jednak odmówić racji Anglikom tam, gdzie trzeźwo oceniając rzeczywistość NRF, niweczą złudzenia jakoby świat zapomniał już o bezmiarze nieszczęść, zadanych przez hitlerowskie Niemcy ludzkości. Nie, świat tego nie zapomniał. I nie zapomni dopóty, dopóki w Niemczech odżywać będą tendencje neonacjonalistyczne i odwetowe. A te, jak przyznają nawet sami co uczciwsi Niemcy, nie zniknęły przecież z obszaru między Łabą i Renem.

JACEK LEBEN

Jeszcze raz „tak"

Ktoś kiedyś porównywał naród francuski do zbiorowiska koników polnych. Skacze to sobie po zielonej murawie, cyka ciesząc się ze słońca dnia dzisiejszego, nie zważając na przyszłość mimo, że widnokrąg może już być zaciągnięty czarnymi chmurami. Argumentem dla poparcia takiego właśnie określenia służyła m. in. rzeczywistość IV Republiki. Zmieniały się rządy, kryzysy rządowe trwały miesiącami, za morzami toczono wojny a życie Francji toczyło się normalnym trybem. Paryż nadal nadawał ton modzie światowej, Francuzi pracowali, pili coraz więcej wina i gwarzyli w zacisznych bistro i kafejkach.

Tego rodzaju obraz Francji jest bardziej efektowny niż prawdziwy. Pod powierzchnią pozornej lekkości ukryte drgały polityczne namiętności, trwał dramat upadku fracuskiego imperium. Paryż pozostał stolicą mody, ale przestał być stolicą świata. Wbrew porównaniu do koników polnych polityczna atmosfera Francji nie symbolizowała się nagłymi zwrotami raz na lewo, raz na prawo.

Po II wojnie światowej w społeczeństwie francuskim nastąpił, wydawało się, trwały zwrot na lewo. Czołową rolę zaczęły odgrywać trzy wielkie partie polityczne — Komunistyczna Partia Francji, Socjaliści i Katolicka MRP, która również szermowała lewicowymi hasłami. Potem punkt ciężkości zwolna zaczynał przesuwać się ku centrum, ale izolowani komuniści pozostawali największą partią Francji i głosowała na nich niezmiennie przeszło 1/4 Francuzów. Dopiero śmierć IV Republiki i narodzenie się V po cesarskim cięciu jakim był pucz wojskowy w Algierii zadecydowało o radykalnym zwrocie w kierunku prawicy. Na jej konto działały nie tylko kilkunastoletnie rządy bezwładu i niemocy, ale przede wszystkim wojna w Algierze. Każda wojna powoduje wzrost nastrojów nacjonalistycznych. Jedynie II wojna światowa tak złożona dla Francji skierowała nacjonalizm w lewicowe łożysko. Ale warto sobie przypomnieć że po I wojnie światowej zwycięstwo we Francji odniósł „Bleu Horizon" (tak określa się kolor munduru francuskiego). Wówczas zwycięstwo odnieśli prawicowi kombatanci.

W obecnych wyborach francuskich również zwyciężyła prawica. Wylano już morze atramentu dla uzasadnienia a czasem i przytuszowania tego stanu rzeczy. Niezaprzeczalne zwycięstwo prawicy można byłoby jednak traktować jako element trwały jedynie wówczas, gdyby społeczeństwo francuskie głosujące w większości na kandydatów prawicy i mało różniącej się od niej centrum głosowało za jakimś programem. Tak jednak przecież nie było. Całe wybory francuskie Anno Domini 1958 były głosowaniem na mity, na krajowe i prowincjonalne osobistości, na przekreślenie tego co było, ale nie na programy polityczne, nie na sprecyzowane polityczne jutro Francji.

Jedynym wysokim i wyraźnym punktem orientacyjnym na niebie Francji był gen. de Gaulle. Na niego się orientowano. Część całkowicie i bez reszty i ci głosowali na Unię Nowej Republiki, którą mimo braku oficjalnego błogosławieństwa de Gaulle'a, który wolał pozostać wielkim i czystym ponad arbitrem uważano za najbliższą jego osobie. Część orientowała się na niego głosując na tradycyjne partie polityczne, które również prócz subtelnych odcieni nie posiadają innego programu niż poparcie de Gaulle'a. Ci, którzy głosowali przeciw niemu ponieśli ciężką porażkę. Komuniści utracili półtora miliona głosów. Wymowy tej liczby nie można nie doceniać. Przepadł w wyborach Mendes France — jeden z najzdolniejszych i najodważniejszych polityków Francji, który w pamiętnym referendum wzywał do głosowania „nie". Z utraty głosów przez komunistów nie zyskali, jak można było przypuszczać, socjaliści Guy Molleta, którzy w minimalnym stopniu powiększyli swój stan posiadania. Rozbici i skłóceni radykałowie różnych maści i odcieni przestali być jakąś siłą polityczną przechodząc raczej do historii. O ile przesunięcie na prawo w społeczeństwie francuskim jest dość znaczne, to w Zgromadzeniu Narodowym przez nie wybranym jest ono przytłaczające.

Pierwsze Zgromadzenie Narodowe V Republiki to zgromadzenie prawicy, którą na domiar złego powiększa jeszcze 71 deputowanych wybranych w farsowyborach na terenie Algierii i Sahary. Wyborom takiego zgromadzenia służyła nowa ordynacja wyborcza, ordynacja bez osłonek antykomunistycznych. Jaskrawy przykład przedmieścia stolicy Francji. W „czerwonym pasie" Paryża 301 tys. głosów padło na kandydatów Unii Nowej Republiki, na rzecz której wycofali się wszyscy inni burżuazyjni kandydaci. 299 tys. wykandydatów Komunistycznej Partii Francji. Wszystkie mandaty przypadły Unii Nowej Republiki. Jedynie sekretarz generalny FPK Maurice Thorez wybrany został deputowanym w okręgu Vitry zwyciężając kandydata UNR. W tej sytuacji socjaliści i komuniści razem mieć będą w Parlamencie francuskim jedynie stu deputowanych (uprzednio ponad 250).

Wybory francuskie wykazały, iż mylili się ci, którzy sądzili, że 80 proc. Francuzów głosujących „tak" w Referendum nad projektem Konstytucji to jedynie jednodniowy obraz Francji, że w wyborach sutacja ulegnie zmianie. Wybory francuskie były przedłużeniem Referendum, były jeszcze jednym „tak" oddanym na de Gaulle'a. Jak wykorzysta de Gaulle to jeszcze jedno swe zwycięstwo wykaże przyszłość. Bo dziś tylko on jest rzeczywistością, program bowiem nadal nie istnieje.

Nasza szkółka

CZEGO SAMOTNICY Z PROWINCJI NIE ŻYCZĘ...

Nie wiem, czy opowieścią o samotnej a sterroryzowanej dziewczynie *) zaszokowałem kogokolwiek. Nasza prowincja przypomina bowiem wielkiego a opatrzonego linoskoczka, który chodzi i na uszach, ale nikogo już nie może zdziwić. „Odkrywanie" prowincji i jej dziwów obyczajowych, dotyczących stosunków międzyludzkich, pojęć i zapatrywań, wydarzeń i curiosów stanowi od lat chleb powszedni setek dziennikarzy, dziesiątków literatów i kilku naukowców. Ich enuncjacje nieśmiertelnie kończą się sformułowaniem: że coś trzeba zrobić, że trzeba przełamać marazm, że coś tam musi zaświtać. Propozycje bywają — bynajmniej nie ze względu na słuszność — interesujące.

Spotkałem ostatnio taki, publicznie zresztą głoszony, pogląd: Stosunki na prowincji są odbiciem jej ekonomiczno-społecznej sytuacji ogólnej i zmiany w nadbudowie mogą tam następować tylko jako zjawisko wtórne w stosunku do zmian w bazie. Dlatego utopią są i burżuazyjnym liberalizmem postulaty, by podjąć walkę ideologiczną z klerykalizmem i polemikę z panującymi obyczajami poprzez formę klubów, odczytów, popularyzacji odpowiedniej literatury itd. Sytuację zmieni dopiero przyszła intensywna socjalizacja ekonomiczna rejonów. Oczywiście należy, nie czekając, szerzyć pozytywne wartości filozofii laickiej, marksistowskiej, nie spodziewając się jednak po tym żadnych rewelacyjnych, praktycznych rezultatów. Nie należy wdawać się jednak w krytykowanie przeciwnika, gdyż to zachwieje świętą zgodę narodową.

Kto zna Belfra ten wie, że wobec takiego poglądu nie poprzestanie on na samym stwierdzeniu, iż jego autor to jest jakiś czysty metafizyk, zakładający automatyzm skutków i każący wierzyć, że socjalizm to taka dobra rzecz, która rozwiąże wszystkie problemy społeczno-świadomościowe. Belfer nawet poniekąd z tym poglądem się zgodzi. Co do tego mianowicie, co jest pierwotne a co wtórne. Że mianowicie generalne rozwiązania daje tu socjalizm — w tym wszakże sensie, iż daje możliwości do zastosowania rozwiązań generalnych, które to możliwości — jak uczy praktyka — mogą być albo i nie być wykorzystane.

Autorce przytoczonego w poprzednim numerze listu można dać słowo honoru, że jak w przyszłości wybuduje się w jej Pcimiu jakiś odpowiednik Nowej Huty — to będzie mogła do woli wyglądać przez okno i chodzić na spacery. Tylko nie wiem, czy takie zapewnienie ją ukontentuje, czy udzielanie tak mgławicowego z jej punktu widzenia zapewnienia będzie zabiegiem humanistycznym. I czy wreszcie rozpoczęcie „orki w dziedzinie poglądów, stosunków międzyludzkich i obyczajów" dopiero wtedy, gdy ekonomiczne przeobrażenia dadzą po temu realną podstawę, nie będzie tu drogą najdłuższą, jaką można sobie wymyśleć.

Mam też wątpliwości, czy najskuteczniejszą drogą działań humanizacyjnych jest wspomniana a sugerowana metoda krzewienia pozytywnych propozycji filozoficzno-etycznych bez wdawania się w polemikę z istniejącym stanem rzeczy, tak by nikogo nie urazić i nie zniechęcić.

Boję się bowiem, że nawet wtedy, gdy do każdego Polaka przyjdzie prof. Kotarbiński, wygłosi osobiście odczyt, a nawet osobiście wyprowadzi na spacer, do kina i do kawiarni każdą potencjalną autorkę listu podobnego przytoczonemu — to z tego powodu kultura i etyka plebanii tudzież kołtuńskiego grajdołka nie umrze na nagły paraliż.

Propozycja taktyczna, do której nagina się ideologię — tak ocenić bowiem trzeba zacytowany na wstępie pogląd — wynika z nieporozumienia, w każdym razie z przerzucania się z jednej krańcowości w drugą. Wychodzi ona z przeświadczenia, że jeśli metoda działań o charakterze administracyjnym dała ujemne skutki, to wszelkie działania nawet tylko werbalno-polemiczne, też dadzą ujemne skutki, też sprzeczne są z zasada tolerancji. Dziwna to zaiste, tolerancja, w której tylko jednej stronie wolno polemizować i zwalczać przeciwnika. Że takie lub owakie poczynania spotkać mogą gromy z ambony lub zdecydowaną niechęć środowisk sprawujących na prowincji nie tyle rząd dusz, co terror etyczno-obyczajowy, t o n i e p o w ó d, by wyrzekać się działań bezpośrednio skierowanych przeciwko kołtuństwu we wszelkich jego postaciach. Nie powód też, dla którego biblioteka i książka, dom kultury i kino, szkoła i organizacja zawodowa nie miałyby być wykorzystywane zarówno do zwalczania modelu życia, współżycia i myślenia, jakie dyktuje tzw. „prowincja", jak i do zgłaszania i popularyzowania laicko-humanistycznych kontrpropozycji. Dlaczego nie ma się tam mówić i o świadomym macierzyństwie i o nowoczesnej teorii i praktyce współżycia płciowego i o sprawach etycznych i o wielu innych rzeczach, które jego są.

Przyznaję tylko, iż nie ma co np. organizować szerokich dyskusji na ten temat czy Bóg jest czy go nie ma, bo są istotniejsze i bardziej życiowo przydatne, acz może i pochodne sprawy. I że nie ma co zakładać, iż organizowana (takim odważny, że nie boję się tego słowa) kampania wymierzona w nasze polskie średniowiecze, kampania przebiegająca w sferze myśli — da jakieś generalne rozwiązania i rezultaty. Na to istotnie potrzeba przebudowy bardziej podstawowych dla życia społecznego warunków i stosunków.

Ale nie miotajmy się w skrajnościach. Bo zanim w każdym Pcimiu stanie Nowa Huta, ostatniego miejscowego kacyka pokazywać się będzie w ZOO, a każda przekupka dzień zaczynać będzie od lektury „Polityki", a więc zanim to wszystko będzie — autorka przytoczonego przed tygodniem listu dostanie dawno żylaki na nogach od stania i wyglądania na ulicę przez firankę, bez prawa upragnionego wyjrzenia przez okno. Czego jej z całego serca nie życzy

BELFER.

P. S. Jeśli ktoś spostrzeże w powyższym pewne elementy krytyki w odniesieniu do jednego z odłamów Stowarzyszenia Ateistów i Wolnomyślicieli — może się i zbytnio nie pomyli.

*) Patrz poprzedni (40) numer „Odgłosów".

Z podróży na Daleki Wschód ZSRR

(II)

MOSKWĘ MOŻNA ZWIEDZAĆ BARDZO RÓŻNIE. MOŻNA ZAWIEŹĆ TAM NYLONOWE MAJTKI I POTEM PISAĆ REPORTAŻE O MOSKIEWSKICH MAGAZYNACH, CENACH, TELEWIZORACH. ZNAM TAKICH, KTÓRYM ZA PRZEWODNIKA SŁUŻĄ KSIĄŻKI STAREGO LWA TOŁSTOJA. CI OSTATNI — NAJCZĘŚCIEJ PISARZE — IDĄ NA UL. WOROWSKIEGO 52, GDZIE ODDALONY NIECO OD ULICY ŻÓŁTY PAŁACYK BYŁ PONO DOMEM ROSTOWYCH. JEDNI ŁUDZĄ SIĘ MOŻE, ŻE NA ASFALTOWEJ DRÓŻCE WOKÓŁ KWIECISTEGO KLOMBU ZOBACZĄ ZGRABNĄ SYLWETKĘ NATASZY ROSTOWEJ LUB POŚRÓD PRZECHODZĄCYCH TĘDY LUDZI DOJRZĄ ELEGANCKĄ POSTAĆ KSIĘCIA WOŁKOŃSKIEGO; INNYCH — PROWADZĄ W TE STRONY ROZLICZNE SPRAWY, TUTAJ BOWIEM MIEŚCI SIĘ ZARZĄD ZW. PISARZY ZSRR I JEGO ZAGRANICZNA KOMISJA.

Propagatorzy i zarazem szmuglerzy naszej damskiej bielizny, ci emisariusze „europeizacji" gorączkowo zwiedzający moskiewskie sklepy i gastronomy, — przeżywają prawdziwe rozterki: zabrać z sobą do kraju kawior czy „kaprony" czy nie zabrać. — Zapewne nawet nie przypuszczają, że na piętrze domu, gdzie dziś mieści się Gastronom nr 1 — znajdowały się salony Zenaidy Wołkońskiej. Jakże nazwać dziwne wrażenie, które ogarnia, gdy widzi się jak młody poeta, z garstką rubli w dłoni zaaferowany biega w tłoku od stoiska do stoiska w tym samym miejscu, gdzie ongiś jego starszy brat, Adam Mickiewicz, zachwycał swymi improwizacjami? Salony Wołkońskiej przebudowano i jeszcze przed rewolucją mieścił się tu słynny magazyn Jelisiejewa, zdobny jak rezydencja baszy i niesmaczny w swym przepychu. Na parterze domu, w którym był słynny „grecki pokój' współczesny poeta szuka już tylko greckiej chałwy.

Kiedy pada nazwisko „Wołkońscy" przychodzi na pamięć nie tylko Mickiewicz.

Księżna Maria Wołkońska z domu Rajewska, córka słynnego bohatera 1812 roku, Katarzyna Trubecka z domu hr. Laval — gdy mężów ich, „dekabrystów", skazano na ciężkie roboty na Syberii, bez wahania zdecydowały się dzielić ich los w dziczy, wśród katorżników, w najprymitywniejszych warunkach. Zrozumieć ich ciche bohaterstwo może tylko ten, kto czytał o straszliwych warunkach pracy w kopalniach nerczyńskich, kto przeglądał akta urzędowe, które musiały podpisać zanim zezwolono im przybyć na Syberię.

Miłość Romea i Julii znalazła swego Szekspira a poprzez niego nie przestaje nas wciąż wzruszać. Dlaczego swego Szekspira nie znalazła miłość żony Nikity Murawiewa, Aleksandry z domu hrabianki Czernyszowej? W Rosji zostawiła syna i dwie córki i pojechała za mężem skazańcem aż do surowej, zimnej Czyty. Co dzień z okna domu patrzyła jak prowadzono na ciężkie roboty jej męża i brata; z mężem mogła się widzieć tylko najwyżej pół godziny dwa razy na tydzień i to w obecności oficera dyżurnego. A miała wówczas 24 lata i zwracała powszechną uwagę niezwykłą urodą.

„Po roku rozłąki — pisze rosyjski historyk — sprawdziły się jej smutne przeczucia. Umarł syn jej jedyny, a córki usychając z tęsknoty za matką i ojcem) straciły zdrowie. A jednak Aleksandra nie zrezygnowała ze swego dobrowolnego zesłania. I tu — w cztery lata później zmarła z przeziębienia...*

* * *

Sybir, ciężkie roboty, katorga, knut, kajdany... powtarza się nieustannie w naszych wcześniejszych pieśniach i wspominkach. Dla każdego Polaka pojęcie „Sybir" kojarzy się z klęskami narodowymi, powstaniami, zesłańcami, ciężką katorgą. Ale w gruncie rzeczy jakże mało wiemy o syberyjskich sprawach naszych rodaków, o ich życiu i działalności na zesłaniu.

Dzięki Słowackiemu wiemy cośkolwiek o syberyjskich przygodach Beniowskiego, jego słynnej ucieczce z Kamczatki. Nikt jednak nie spróbował skonfrontować pamiętników Beniowskiego**) z faktami, z istniejącymi w archiwach rosyjskich dokumentami. Może okazałoby się wówczas, że ów srogi gubernator, którego zabójstwem chlubi się Beniowski — był w rzeczywistości tylko zwykłym kapitanem, pijaczyną i serdecznym druhem Beniowskiego, hetman — zwykłym oficerem kozackim, wspaniała forteca — zgniłym parkanem, głęboka fosa — rowem, silny oddział w „twierdzy" — nieliczną grupką starych, zaprzyjaźnionych z więźniami Kozaków.

O wiele ciekawsza niż przygoda Beniowskiego jest, moim zdaniem, historia Polaka Piotrowskiego, który zbiegł z gorzelni Ekaterynenskiej. W peruce, w stroju miejscowym, pieszo po lodzie Irtyszu doszedł do Tary, a stąd w przedziwny i arcyciekawy sposób dostał się do Petersburga i jak gdyby nigdy nic spacerował po Newskim Prospekcie. Potem nastąpił nowy rozdział przygód i wreszcie zakończenie ich w Paryżu, z którego przed czterema laty wyjeżdżał jako emisariusz.

Jakże romantyczna była przygoda Albiny Migurskiej! Pojechała z Polski aż do Uralska za swym narzeczonym wygnańcem. W Uralsku wyszła za niego za mąż i miała dwoje dzieci, które zmarły. Ogarnięta straszliwą nostalgią za ojczyzną, zorganizowała fikcyjną śmierć swego męża i uzyskawszy pozwolenie na powrót do kraju i wywóz kości zmarłych na obczyźnie dzieci, w trumnie z prochami dzieci umieściła żywego męża i wraz z tym makabrycznym ładunkiem pomknęła saniami ku granicom Polski...

Nasza pamięć zawodzi nawet i w stosunku do polskich bohaterów narodowych. W historii błyszczą oni na krótko jak meteory. Co my wiemy o późniejszych losach na przykład Piotra Wysockiego? A przecież jego dalsze dzieje są chyba niemniej ciekawe niż te z okresu Warszawy: ucieczka łódką po rzece Angara i postrzał w rękę, kazamaty i przygotowana przez Chłopickiego ucieczka przy pomocy fałszywych pieniędzy — jakiż to wspaniały fantastyczny materiał literacki.

Bywa i tak, że popularny bohater narodowy jest znany tylko ze swego okresu „krajowego", potem — gdy zesłany, już w niewoli, dokonał czynów i rzeczy naprawdę poważnych, wartych uwagi i pożytecznych — nikt o tym nie wie, nikogo to nie interesuje.

Przez blisko dwieście lat niewoli Polska miała podcięte swe serdeczne żyły i w jakiejś przymusowej transfuzji oddawała Syberii wszystko, co miała najlepszego — kwiat swej inteligencji, co mądrzejszych, mężniejszych, najbardziej postępowych ludzi. Przekazali oni syberyjskim krainom najpiękniejsze lata swego życia — niektórzy z nich dokonali tam sławnych odkryć geograficznych, byli nauczycielami dzikich plemion, nieśli kulturę i cywilizację, dali pierwsze naukowe opisy ziem dotąd nieznanych, nie przebrniętych, dokonali rzeczy niezwykłych.

Ale czy nasza młodzież wie na przykład, dlaczego ogromny łańcuch gór na północy nosi nazwę „Gór Czerskiego"? Kto dał pierwszy fachowy opis Ziemi Jakutów? Czyja książka przyniosła pierwsze pełne wiadomości o Korei?

Pytania można by mnożyć i mnożyć. Jedynym naszym pisarzem, który naprawdę poważnie traktował problemy Syberii i Dalekiego Wschodu był Wacław Sieroszewski. Ale i z jego bogatej twórczości dajemy poznać tylko ułamek, zapominając, że był on również wysłannikiem, zdaje się Petersburskiej Akademii Nauk i napisał wiele ciekawych fachowych książek z dziedziny geografii i krajoznawstwa.

...Wkład Polaków w odkrycie i zagospodarowanie Syberii jest bezsporny i ogromny. To oni pierwsi zaczęli tu wyrabiać olej cedrowy, nauczyli sybiraków pszczelarstwa i jak pisze Maksimow — *„ogrodnictwo syberyjskie, pozostające w ogóle w stanie pierwotnym, Polacy podnieśli głównie w ten sposób, że sprowadzali z Polski nasiona i zaklimatyzowali niektóre lepsze, nie znane na Syberii gatunki owoców i warzyw"*. Najlepszą za Bajkałem pszenicę nazywano „polką" i dotychczas tam pamiętają, że jeden z Polaków, niejaki Wałecki, za pomocą sztucznego krzyżowania uszlachetniał miejscowe rasy koni.

Na Syberii Polacy wznieśli sobie trwały i ogromny pomnik wdzięczności. Syberia była dla nich „domem niewoli", lecz jej piękno urzekało ich i niekiedy zatrzymywało już na zawsze. Była dla nich Syberia „domem niewoli", ale niektórzy z nich potrafili żyć w tym domu po gospodarsku. Nie ma powodów, aby o tym zapominać...

* * *

...Coraz nowe książki wyjmowano dla mnie z przepastnych zasobów Biblioteki im. Lenina. Na ulicę Kalinina, gdzie mieści się ogromny gmach biblioteki, jeździłem już od wczesnych godzin porannych i siedziałem niekiedy aż do zmroku. Cisza, zielonkawa lampa płonąca na stoliczku, szelest odwracanych kart i skrzyp stalówki w piórze — to wszystko wszędzie jest do siebie podobne. Tutaj przez długie godziny zapominałem, że przecież przebywam w innym kraju, w innym mieście! Śledziłem utrwalane w opowieściach historie dawno już zmarłych rodaków, ścieżki i zawiłe dróżki ich życia, w którym co krok czyhało na nich niebezpieczeństwo.

Na 40 stronicy książki W. K. Andriewicza pt. „Krajkij oczerk Historii Zabajkalia", wydanej w Petersburgu w 1887 roku, odnalazłem wreszcie poszukiwane słowo „Albazin":

„W 1665 roku odbudowano gródek Albazin. Dokonali tego przestępcy — uciekinierzy z Ilimska pod dowództwem Nicefora Czernihowskiego". Obok była gwiazdka i odnośnik: „Patrz przypis".

Zajrzałem do „Przypisów":

„...Nicefor Czernihowski był Polakiem. Trudno powiedzieć za co został on zesłany. Żył w Ust-Kutskim gródku i był nadzorcą w kopalniach soli. W 1665 roku do Ust-Kutska przybył wojewoda ilimski, Wawrzyniec Obuchow, któremu bardzo spodobała się żona Czernihowskiego. Obuchow porwał ją z sobą do Ilimska. Czernihowski zaprzysiągł zemstę. Zebrawszy towarzyszy napadł na wojewodę, zabił go oraz jego służbę, zagrabił rzeczy wojewody i państwowe, a potem wraz z towarzyszami wyruszył nad Amur. Doszedł do miejsca, gdzie ongiś stał Albazin, obecnie zrujnowany przez Chińczyków. Czernihowski zbudował drewnianą twierdzę i zaczął zbierać daninę z Tunguzów..."

Oto zdjęta została jedna z owych siedmiu pieczęci, które — jak mówią baśnie — chronią zawsze dostęp do tajemnicy. Odbudował Albazin Polak, Nicefor Czernihowski, do niego to zapewne pisali po polsku przedstawiciele wielkich Chin.

* * *

Wystarcza kilka zdań i dostrzeżony w oczach błysk chciwości na słowo o jakichś starych książkach czy przedmiotach — a już się wie, że to „swój". Mimo kusego paletka, „idenki" i wąskich spodenek *„stilagi"* już po trzech dniach wieczory spędzałem w jakichś brudnych bramach na Kuźnieckim Moście, w zaułkach koło Arbatu, gdzie przy pomocy wymyślnych tajnych haseł wprowadzano mnie do mieszkań dziwnych ludzi. Oglądałem rzeczy niezwykle rzadkie i piękne, znalazłem się w ukochanym świecie zbieraczy, kolekcjonerów, szarlatanów, dziwaków i uczonych.

Mówiłem, że szukam głowy *„Czornogo Drakona"*, którą na początku tego stulecia odnaleziono w „Szamańskim kurhanie" nad Amurem. Był to bezczelnie wymyślony pretekst — ale wśród tych ludzi nic nie wywołuje zdziwienia, wszystko jest możliwe, wszystko gdzieś kiedyś istniało. Zamiast głowy „Czornogo Drakona" proponowano mi dziwaczną broszkę z tysiącletniego kurhanu na Ałtaju, sarmacki przęślik, wątpliwej autentyczności miecz Tamerlana, złotą bransoletę scytyjską, figurę cesarza sogdyjskiego znalezioną w górach Tian-szaniu, autentyczną wazę z epoki Minh. Pewien myśliwy chciał mi za 500 rubli sprzedać „Korzeń Życia" i przysięgał, że za piętnaście rubli wprowadzi mnie we wszystkie tajniki zbierania Mandragory oraz nauczy robić wywar. Jego „Żen-szen" był prawdziwy, miałem go w ręku — ale właściciel wydał mi się zbyt pijany, a ja byłem zbyt trzeźwy, i transakcja nie doszła do skutku. Tu w ciasnych klitkach ludzi ubranych nędznie, ale posiadających bogactwo milionerów — po raz pierwszy dowiedziałem się o kulturze bachajskiej, o ogromnych kamiennych żółwiach śpiących w tajdze Ussuryjskiego Kraju, o dotąd nie odczytanych tajemniczych napisach na skałach, o jeszcze nie zbadanych „złotych" kurhanach. Tu po raz pierwszy zetknąłem się z legendą (potem znalazłem ją w poważnych naukowych książkach) — o ogromnych głazach wychylających się z Amuru przy niskim poziomie wody, głazach, na których w czasach gdy ziemia kipiała i świeciły „trzy słońca", a od żaru topiła się ziemia, wyrysowano w kamieniu jak w plastelinie przedziwne stwory, maszkary straszliwe...

Dnie były chłodne, choć słoneczne. Wczesnym wieczorem wąski, ruchliwy Arbat wydawał mi się brązowy, delikatny jakby wykonany w starej terrakocie. Nocami ślęczałem nad mapą i przejęty ogromem przestrzeni, którą wypadnie mi przebyć, jak skąpiec wydzielałem sobie każdą kopiejkę, żeby tylko na pewno móc zobaczyć na własne oczy owe śpiące w tajdze kamienne „czerepachy", spojrzeć w oczy okropnym maszkarom skalnym. Głowa moja była jak marynarski kufer, gdzie lekkomyślnie rzucałem zbierane z książek wątki romantycznej historii Czernihowskiego i jego pięknej, porwanej żony, dzieje ucieczki nad Czarną Rzekę, fotografie kamiennych żółwi, plany albazińskiej twierdzy, tragiczne życiorysy zesłańców, szamańskie legendy o „trzech słońcach". Mieszały się stulecia, epoki, kultury, a jeszcze wabiła Moskwa „sorok soroków" cerkwi, monastyrów i soborów. Każdy następny dzień zapowiadał nową piękną przygodę.

---

*) Dzieciom szlachty nie było wolno udawać się za rodzicami na zesłanie.

**) Mam na myśli wydane w Paryżu w 1791 r. „Voyages et memoires de Maurice August Comte de Beniowsky".

(d. c. n.)

ZBIGNIEW NIENACKI

NA TROPIE tajemniczego ALBAZINA

Improwizacja Mickiewicza w salonie ks Zenaidy Wołkońskiej. Obraz olejny Miasojedewa (Muzeum im. Puszkina), Moskwa.

Tajemniczy, śpiący w tajdze wielki kamienny żółw,

Moskwa. Dom ks. Zenaidy Wołkońskiej (ilustr. z książki Fiszmana „Mickiewicz w Rosji")

JERZY ŁAŃCUT

TRAGIKOMEDIA PATRIOTYCZNA

Minęły czasy, gdy cumowały tu okręty wojenne. Odległe są dni, w których na Scapa Flow mówiono o strategii i obronie. Dziś jest to już tylko zdjęcie historyczne.

TRIUMF PIERWSZY

Rejon wodny Scapa Flow o powierzchni 120 mil kw., otoczony szeregiem wysp z północy, południa i wschodu stanowił idealne miejsce na główną morską bazę operacyjną. Doskonałe położenie geograficzne zatoki chronionej przez urwiste skały — czyniły ten rejon wodny i sam port bardzo trudno dostępnym dla każdej wrogiej floty, która by wtargnęła na wody północnej Szkocji. Tu, w Scapa Flow, obok rozległych poligonów, znajdowały się magazyny paliwa i amunicji, tu pracowały wojenne stocznie remontowe brytyjskiej marynarki wojennej.

Niemcy przegrali pierwszą wojnę światową.

Jedną z konsekwencji porażki było internowanie przez Anglików niemieckiej marynarki wojennej. 46 okrętów wojennych wpłynęło do Scapa Flow — prowadzonych przez statek flagowy „Fryderyk Wielki". Głównodowodzącym floty niemieckiej był wiceadmirał von Reuter.

Siedem miesięcy niemiecka marynarka wojenna była już unieruchomiona, gdy dnia 17 czerwca 1919 r. wiceadmirał von Reuter zwołał tajną konferencję dowódców wszystkich statków. Oficerowie zebrali się na flagowym statku, by dowiedzieć się, że honor Niemiec nakazuje unieszkodliwić wszystkie internowane okręty wojenne „aby nie przysporzyły pożytku wrogowi". Postanowiono je unicestwić przez zatopienie. Właśnie tu, w Scapa Flow!

21 czerwca 1919 r., gdy większość brytyjskich okrętów strażujących wyszła w morze na ćwiczenia — na maszcie flagowego okrętu wiceadmirała von Reutera pojawił się sygnał: „Potwierdza się 11 paragraf".

Scapa Flow stał się widownią makabrycznego triumfu.

Na rozkaz swego głównodowodzącego — załogi internowanej floty zatopiły wszystkie swoje okręty.

Czterdzieści sześć okrętów zwyciężonej floty, niemalże w oczach zwycięzców, legło na dnie wód Scapa Flow.

Anglicy byli skompromitowani w oczach całego świata.

Niemcy triumfowali...

TRIUMF DRUGI

Nad Scapa Flow zapadła noc. Gęsta, jesienna mgła legła nisko nad wodami zatoki. Nie widać było nawet świateł pokładowych. W równych odstępach czasu wydzwaniano na statkach wachty. W jednakowych odstępach czasu snop latarni morskiej omiatał okolicę. Była jesień 1939 roku, ściślej — noc z 14 na 15 października pierwszego roku II wojny światowej.

Poprzedniego dnia wpłynął do Scapa Flow pancernik „Royal Oak" — duma angielskiej marynarki wojennej, zarzucając kotwicę opodal lotniskowca „Pegasus".

O godzinie 1.16 ciszę nocną rozdarła eksplozja o potwornej sile. Zaskoczenie było niebywałe. Największe jednak na pancerniku „Royal Oak", gdy zaczął silnie nabierać wodę. Nic go już nie mogło uratować. W ciągu trzynastu minut zatonął, a wraz z nim 833 marynarzy. Stojący niedaleko lotniskowiec został poważnie uszkodzony.

Tymczasem z wód Scapa Flow niepostrzeżenie wymknęła się hitlerowska łódź podwodna „U-47" — sprawczyni kompromitacji niespotykanej dotąd w historii brytyjskiej marynarki.

Dowódca „U—47", porucznik Ginter Prien przedarł się do silnie strzeżonego legowiska brytyjskiego lwa. Obalił mit o niedostępności operacyjnej bazy angielskiej marynarki wojennej i wśród gęstwiny obronnej blokady, manewrując prawie z akrobatyczną umiejętnością — wtargnął do portu, by zatopić w nim jeden z największych okrętów wojennych Wielkiej Brytanii.

Dwa dni fetowano w Berlinie sławę porucznika Priena, którego Hitler awansował do stopnia kapitana, dekorując pierś bohatera najwyższym odznaczeniem.

Niemcy znów triumfowali...

Pierwszym triumfem było samounicestwienie... Z „honorem" szła na dno Scapa Flow internowana flota niemiecka.

CZYŻBY TRZECI TRIUMF?...

Na jednej z głównych ulic Hamburga mieści się maklerskie biuro. Niewielkie to biuro z niewielkim personelem. Oto jego szef — 36-letni, wysoki, o wydatnie zarysowanym podbródku — pan Horst Angermann. Oto jego sekretarka — stenografistka, zgrabna blondynka obsługująca jednocześnie dalekopisy. I to wszystko. Całe biuro.

Specjalnością pana Angermanna jest pośrednictwo w kupnie i sprzedaży niezwykłych „obiektów". Raz będą to helikoptery typu „Sikorsky", innym razem czteromotorowe „Constellationy", to znów zakłady elektryczne w... Afryce.

Szczególnie jednak pan Angermann interesuje się nieczynnymi halami fabrycznymi. To bardzo poszukiwany „artykuł" na rynkach zachodnioniemieckich; kosztuje zaledwie ¼ ceny nowego obiektu — po prostu tyle ile demontaż, transport i montaż...

Ten obrotny makler dokonał ostatnio transakcji, którą zaliczyć można do interesów... nie z tej ziemi.

Kupił Scapa Flow!...

Dokładnie mówiąc: wszystkie urządzenia i zabudowania w postaci hal i opustoszałych zakładów oraz warsztatów, znajdujących się w centrum Scapa Flow, zwanym Lynnes.

Sto dziesięć budynków brytyjskiej marynarki wojennej przeszło na zasadzie kontraktu kupieckiego w ręce niemieckiego pośrednika, pana Angermanna.

Interesujecie się ceną? Proszę bardzo. 500.000 marek zachodnioniemieckich!

Anglicy naród kupiecki — Niemcy też. Nie ma więc mowy o sentymentach. Business ist business...

Niepotrzebną stała się Anglikom baza morska w Scapa Flow — a więc trzeba ją sprzedać. Gentlemani nie gardzą pieniędzmi. To byłby dopiero shocking...

Zainkasowali więc pół miliona, a pan Horst Angermann rozpoczął sprzedaż: dwie największe hale ze Scapa Flow powędrowały do Lubeki, zasilając tamtejszą stocznię, większość budynków i urządzeń zakupiła jedna z największych firm budowlanych w NRF. Pozostało już bardzo niewiele. Ale może ktoś pragnie nabyć? Proszę bardzo.

Pan Angermann oferuje: kościół — cena 500 DM., kasyno oficerskie — cena 9.500 DM., budynek dowództwa Royal Nawy w Scapa Flow — cena 15.000 DM.

Rzadka okazja w 13 lat po przegranej wojnie!

Pośpieszcie się bliźni.

Kto pragnie kupić?...

A to pan Horst Angermann, „pacyfikator" Scapa Flow, bezsporny bohater trzeciego triumfu...

EDWARD CASTEL

WOJNA O SUEZ (VIII)

W Rafie zdobywcy zajęli się natychmiast inwentaryzacją i ewakuacją obfitego łupu: samochody, działa, pojazdy gąsienicowe, sprzęt obozowy, miny, amunicja.

Następnego dnia kolumna izraelska wkraczała do Gazy. Na czele, w jeepie, jechał rabin. Miasto nie stawiało oporu. Bronił się tylko krótko posterunek policji egipskiej. Czołgi generała Laskowa szybko sobie z nim poradziły. Zebrana ad hoc nowa rada miejska poddała miasto, zwane przez Żydów „cierniem w boku Izraela". „Jaisz el Jehudi!" — niech żyją Żydzi! — wołali mieszkańcy. 200.000 spośród nich to byli „uciekinierzy palestyńscy". Wznosili teraz okrzyki na cześć tych, przed którymi tutaj się schronili. Dziwne, ale prawdziwe!

Równocześnie inna kolumna izraelska ścigała niedobitki egipskie cofające się po szosie nadmorskiej i zajęła El-Arisz. I tu łup był obfity: czołgi, działa samobieżne, samochody, działa bezodrzutowe, miny. 2 listopada Izraelczycy zatrzymali się przed El-Kantara. Byli nad Kanałem. Tu czekali na wojska francuskie.

* * *

31 października wieczorem olbrzymia kolumna zmotoryzowanej piechoty egipskiej wyruszyła z rejonu Delty ku granicy izraelskiej. Przeprawiła się przez Kanał mostem w Ismailia i teraz — następnego dnia rano — zbliża się do Bir-Gifgafa. Wyborowe oddziały egipskie. Sznur pojazdów ciągnie się kilometrami.

Ryk silników. Chrzest gąsienic. Tumany drobnego pyłu. Zwykły marsz zmotoryzowanej kolumny przez pustynię. Wysunięte ubezpieczenia nie mają styczności z nieprzyjacielem. Marsz podróżny.

Naraz wokół kolumny wybuchają pociski. Wycie nurkujących samolotów. To francuskie **Mysteres** stacjonowane w Lyddzie i Tartirze atakują kolumnę rakietami i ogniem broni pokładowej — po sześć sprzężonych karabinów maszynowych.

Kolumna zostaje zatrzymana. Teraz z kolei atakują izraelskie **Mustangi i Mete**ory — znów rakiety, i napalm.

Zjawiają się myśliwce egipskie. Wywiązuje się zacięta walka powietrzna. Kilka egipskich **Mustangów** zostaje zestrzelonych. Kilka izraelskich **Ouraganów.** Jeden francuski **Mystere.** Nadlatują dalsze maszyny francuskie i izraelskie. Myśliwce egipskie zawracają. Tam, na ziemi, zostaje bezbronna kolumna. Znów rakiety, napalm, karabiny maszynowe.

A teraz i ogień dział. To kolumny izraelskie uderzają ze skrzydeł. Część czołgów i samochodów egipskich odrywa się, ucieka w kierunku Ismailii. Reszta dziesiątkowana, broni się. Przecież lada chwila muszą wrócić ich samoloty. Złapią oddech. Przejdą do natarcia...

Ale nie, nie zjawi się już żadna maszyna egipska. O to dba lotnictwo anglo-francuskiego korpusu ekspedycyjnego, operujące po drugiej stronie Kanału.

Bitwa trwa do wieczora. Kiedy wschodzi księżyc, kolumna egipska składa się już tylko z długiego sznura wypalonych wraków. Setki żołnierzy pieszo przemykają na zachód, ku Kanałowi. Wielu wpada w ręce Beduinów — czasem unoszą życie, obrabowani do naga docierają do swoich.

Wyborowe oddziały egipskie przestały istnieć...

* * *

Dowództwo egipskie wydaje wszystkim oddziałom na Półwyspie Synajskim rozkaz śpiesznego odwrotu za linię Kanału. Z chwilą gdy korpus interwencyjny anglo-francuski rozpoczął działania, dalsza obrona Półwyspu traci sens, oddziałom tym grozi odcięcie i zupełne zniszczenie. Ale już jest za późno. Tylko dwóm brygadom — 1 Lekkiej i 3 Brygadzie Piechoty — udaje się cofnąć za Kanał w całości. Egipt dysponuje teraz już tylko dwiema brygadami piechoty i dwiema brygadami pancernymi, z których jedna jeszcze się formuje.

* * *

4 listopada. Kampania synajska jest skończona. Wojska izraelskie są na linii Kanału i Zatoki Sueskiej. El-Kantara — Ismailia — Port Tewfik — Abu-Zenima — El-Tur — Szarm-El-Szeik. Wszędzie izraelskie wozy bojowe, znakowane białym krzyżem.

Krzyżem? Żydzi walczący pod znakiem krzyża?

Dowództwo francuskie żądało wyraźnego oznakowania czołgów izraelskich. „Gwiazda Dawida? Jakże nasi lotnicy odróżnią gwiazdę sześcioramienną od pięcioramiennej egipskiej? Pamiętajcie, że lecą z szybkością tysiąca kilometrów na godzinę. Wymalujcie po prostu białe krzyże!"

Były sprzeciwy. I były wypadki ostrzeliwania kolumn izraelskich przez samoloty francuskie. Białe krzyże pojawiły się na wszystkich pojazdach.

* * *

„Nie zależy nam na braniu jeńców — powiedział Mojsze Dajan — nie chodzi nawet o to, by zabić jak najwięcej Egipcjan. Ostatecznie jest ich 22 miliony! Nie chodzi o to, by zadać im druzgocącą klęskę — drugą na przestrzeni ośmiu lat!"

Jeńców pilnowały kobiety. To największa zniewaga, jaka może spotkać Araba. Większość puszczały wolno, boso, bez spodni. 15.000 takich sankiulotów wróciło do Egiptu.

* * *

Rozpoczęła się ewakuacja zdobyczy. 300 dział, setki samochodów, kilkadziesiąt czołgów, ogromne zapasy benzyny, amunicji, żywności.

Komunikaty podały, że w trakcie walk zniszczonych zostało 10 samolotów egipskich, 100 czołgów, 1.200 pojazdów mechanicznych. Straty izraelskie — 177 zabitych, w tym 77 oficerów, 11 samolotów bojowych, kilka lekkich.

* * *

„Egipcjanie byli lepiej wyposażeni od nas, bili się jednak gorzej niż w latach 1948-49. Nie umieli się posługiwać sprzętem, żołnierze byli schorowani i niedożywieni. Nie mieli też zaufania do swych oficerów. Wyżsi oficerowie spisali się dzielnie — wzięliśmy do niewoli dwóch generałów i osiemnastu pułkowników, nie uciekali tym razem. Ale młodsi oficerowie bez wahania zostawiali swych ludzi na pastwę losu".

* * *

„Zwycięstwo było już pewne — oświadczył generał Dajan — interwencja Sprzymierzonych przyspieszyła załamanie Egipcjan i zmniejszyła nasze straty".

Zwycięstwo zapewniła przewaga w powietrzu. Przewagę w powietrzu zapewniły:

— 60 **Mystere IV** znakowanych **tricolore**

— zdruzgotanie lotnictwa egipskiego przez siły ekspedycyjnego korpusu anglo-francuskiego...

* * *

Rozpoczęło się systematyczne niszczenie wszelkich urządzeń na Półwyspie. Wylatywały w powietrze mosty, stacje kolejowe, szyny, drogi, forty, umocnienia, lotniska. Niszczenie tak systematyczne, że oddziały jugosłowiańskie sił ONZ, które miały maszerować za cofającymi się wojskami izraelskimi, musiały tego zaniechać.

— Oddaja nam nasza pustynię — mówili Beduini

— Półwysep demilitaryzujemy **my** — mówili Żydzi — ONZ nie będzie musiała się tym zajmować...

TYM ODCINKIEM ZAKOŃCZYLIŚMY DRUK PIERWSZEJ CZĘŚCI RELACJI EDWARDA CASTELA — „WOJNĘ EGIPSKO - IZRAELSKĄ. W CZĘŚCI DRUGIEJ, KTÓREJ DRUK ROZPOCZNIEMY ZA TYDZIEŃ, CZYTELNIK ZAPOZNA SIĘ Z INTERWENCJĄ ANGLO - FRANCUSKĄ W SUEZIE, Z JEJ POLITYCZNYM TŁEM, PRZEBIEGIEM I KONSEKWENCJAMI.

Tak, ten uśmiechnięty to właśnie kapitan Ginter Prien, pogromca angielskiego pancernika „Royal Oak", bohater triumfu drugiego

DALEJ na KOŃ, hurra!

• DOKOŃCZENIE •

nie same w lot wykonują komendy dowódców oddziałów.

„JAK TO NA WOJENCE ŁADNIE, KIEDY UŁAN Z KONIA SPADNIE".
(Ładnie, ale nieregulaminowo)

A te koniki jakby wyjęte z obrazów któregoś Kossaka? To anglo-araby Kapkan i Del Zabo. Fachowo mówi się o nich, że mają ładne „exterieur".

No, i ostatni koń, duma tej stajni, półkrwi anglik Bask, który przybył tutaj z toru wyścigowego. Ma on na swym koncie parę zwycięstw, jest więc dumny, nieprzystępny, ostry. Ale kwalifikacje zawodowe ma nie byle jakie! Skacze przez przeszkody płaskie o długości 8 metrów i jest specjalistą od płaskiej gonitwy z przeszkodami urządzanej zazwyczaj na torach wyścigowych, zwanej krótko, ale i niezrozumiale „steaple haise".

„NIE W KOŃ DMUCHAŁ"
Ludowe

Pozostawmy teraz konie w ich prowizorycznej stajni w Łagiewnikach, niech sobie chrupią sianko, a my powiedzmy trzy słowa o sprawach jeździeckich.

Łódzki Klub Jeździecki powstał wiosną tego roku. Jest to jednostka samodzielna i na ogół samowystarczalna finansowo, to znaczy utrzymująca się ze składek członków. Stąd oczywiście stały niedobór pieniądza i stąd prośby o pomoc do ŁKKF. Komitet przyszedł klubowi z pomocą i przeznaczył 30 tys. zł na remont stajni.

„PANIE HRABIO, KONIE ZASZŁY".
Teatr. Z ról głównych

Powstanie Klubu Jeździeckiego otworzyło — jeśli wyrażać się barokowo — nową kartę w dziejach łódzkiego sportu jeździeckiego. Amatorzy i miłośnicy koni w naszym mieście przez ładnych parę lat niemal zupełnie pozbawieni byli możliwości jazdy, bo kto tam miał czas wędrować aż pod Piotrków, gdzie w Bogusławicach przy Państwowym Stadzie Ogierów bez przerwy działała sekcja jeździecka, wędrować do PGR w Dąbrówce czy Sarnowie, gdzie również istniały i istnieją sekcje jeździeckie podległe Wojewódzkiej Radzie LZS. Ale jeździli. Jednak większość członków klubu to ludzie, którym po 20 latach „postu" przyszło znów dosiąść koni. Rychło wrócili do formy i już dziś jeżdżą znakomicie. Jest ich niemało, bo grupka licząca 30 amazonek i 30 panów. Członków wspierających, sympatyków i entuzjastów jeździectwa jest o wiele więcej.

„SŁOWO SIĘ RZEKŁO, KOBYŁKA U PŁOTU".
Przestrogi kawalerskie

Sentyment do koni my Polacy mamy we krwi. Trzeba było widzieć ilu ludzi ciągnęło do lasów łagiewnickich na tradycyjny jesienny bieg za lisem. Trzeba było posłuchać tych wspomnień: Panie kochaneńki jeździło się kiedyś, jeździło... Ale dziś, nie wszyscy, którzy coś tam pod sercem chowają dla koni jeździć umieją.

Młoda kadra przecież rośnie! Uczniowie szkół łódzkich, którzy zapalili się do tego sportu szkolą się wytrwale pod kierunkiem trenerów. A stara kadra jeździecka? — Jest ich przecież znacznie więcej w klubie? To ludzie, którzy już dawniej zetknęli się z jeździectwem. Przed wojną wystarczyło służyć w wojsku polskim, w którym kawaleria była „bronią" silnie reprezentowaną, by jeździć na koniu, by ukochać ten sport. Inni znów nauczyli się jeździć na wsi, w klubach sportowych i dziś wszyscy razem trenują wytrwale na ścieżkach łagiewnickich pól i duktach leśnych. Może już za pół roku trzeba będzie pokazać klasę na zawodach hippicznych, w skokach przez przeszkody (tzw. parcour) oraz w ujeżdżaniu konia.

„...A KONIK GRZEBIE NÓŻKĄ MOGIŁĘ DLA NIEGO".
Mickiewicz. Z pamięci

O treningach i jeźdźcach konie mają swoje prywatne zdanie. Zdarza się więc, że w wyniku jakiejś antypatii, któryś tam jeździec z konia spadnie. Raz kończy się to guzem, raz nóżką lub rączką w gipsie, a trafiło się już i tak, że jeden pan przeleżał parę miesięcy w szpitalu. Jakoś nie przeraża to wcale młodej kadry juniorów, która po paru miesiącach treningu skacze na koniach przez przeszkody i robi to wszystko, co przedwojenny kawalerzysta po dwuletnim szkoleniu w jeździe na koniu. Jeżdżą chłopcy aż miło popatrzeć. Ale jeszcze miłej zobaczyć panie i dziewczęta, czyli łódzkie amazonki, jak w swych czarnych lub czerwonych fraczkach, wysokich butach z ostrogami i zamszowych dżokejkach dosiadają anglo-arabów.

„KOŃ MA CZTERY NOGI
A TEŻ SIĘ POTKNIE
Maksyma ideologiczna

Z inicjatywy tych pań w starej, obszernej piwnicy położonej opodal stajni ŁKJ po dokonaniu adaptacji plastycznej ma powstać nie mniej ni więcej tylko kabaret! I to w stylu „Zielonego Balonika". Rzecz wydawałaby się nie do wiary, ale oni mają w swym gronie aktorów i pieśniarzy z najpierwszych łódzkich scen, mają swoich plastyków i muzyków, więc a nuż się uda. A wtedy, moi mili, nie jeden, a 6 koni, z pobliskich stajni śmiałoby się z tych wszystkich co to w Łodzi przyprawili o żałosną śmierć embhyrion artystycznych kabaretów. My zaś jeździlibyśmy sobie na kabaret do łagiewnickiej piwnicy. Oczywiście konno!. Konną dorożką lub jeszcze lepiej w sto koni-autobusu MPK...

Tekst i zdjęcia
WIESŁAW MACHEJKO

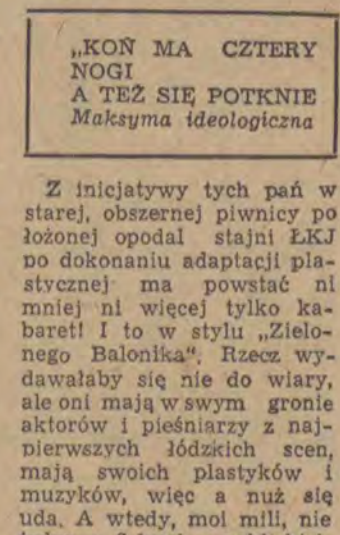

Pugaczow

Oto książka wierszy, której nie trzeba — a może nawet nie należy — zalecać czytelnikowi. Ta książka zaleca się sama. Czym? Oczywiście, nazwiskiem autora. Jest nim Sergiusz Jesienin, poeta niemodny. Niemodny, nienowoczesny, niedzisiejszy. To prawda. Ale jakże chętnie czytywany! I odczytywany. I wertowany. Poeta — jeden z nielicznych — który zajmuje trwałe miejsce w sercach tych, co adorują poezję nowoczesną i w sercach tych, którzy od poezji nowoczesnej odwracają się z niejakim wstrętem, z poczuciem, że zostali oszukani i wykpieni. A więc poeta wyjątkowy. Jego tomiki znajdziecie na półkach prywatnych bibliotek, jego wiersze — odkrywające na nowo rosyjską wieś i rosyjski krajobraz — zapadły głęboko w pamięć narodu. Czy tylko rosyjskiego? Na pewno nie.

A skąd ta popularność? Czy zadecydowała o niej śpiewność, melodia tych wierszy? Czy prezentacja uczuć niemodnych, postawy wrogiej wiekowi zmechanizowanemu i kulturze zmechanizowanej? Tego nie wiemy. Ale popularność jest faktem stwierdzonym i dobrze się stało, że Państwowy Instytut Wydawniczy zechciał ofiarować czytelnikowi „Pugaczowa", poemat dramatyczny Jesienina, w przekładzie Władysława Broniewskiego. Zaryzykowałbym nawet stwierdzenie że nakład tej książeczki (2.000 egzemplarzy — a to nawet dużo, bo chodzi o towar niechodliwy, o poezję) jest, mimo wszystko, nieco zbyt mały. Wdzięcznych czytelników znajdzie się na pewno wielu i, jak już powiedziałem, nie trzeba ich do kupienia „Pugaczowa" zachęcać. I jeśli zachęcałbym kogoś do tej lektury, to czytelników trochę niezwykłych i poezji współczesnej raczej niechętnych. Myślę o ludziach teatru. Przykład „Pugaczowa" udowodniłby im, być może, że poezja współczesna nie straciła racji bytu w teatrze. Ja wiem, temu scenariuszowi poetyckiemu — bo tak nazwałbym poemat Jesienina — zbywa akcji wartkiej i frapującej. Ale czy to znaczy, że nie można by się pokusić o jego inscenizację? Tylko gdzie? W teatrze telewizyjnym? W radiu? Na wielkiej, obrotowej scenie?

J. M.

Sergiusz Jesienin. „Pugaczow". PIW 1958.

Piórkiem przez stulecia

Trudno pisać o rysunkach Maji, Maji, którą wszyscy tak dobrze znamy — chociażby ze „Szpilek", gdzie tydzień w tydzień zarysowuje ostatnią kolumnę.

Trudno coś nowego napisać o tej jedynej w swoim rodzaju rysowniczce, której odwaga i brak pruderii łączą się ze zdolnościami karykaturzysty i świetną, nieomal rygorystyczną znajomością rysunku. I dlatego w sformułowaniu, że postacie na rysunkach Maji żyją — nie ma przesady. Bo rzeczywiście — napięte mięśnie bohaterów jej szkiców stwarzają złudzenie ruchu, w którym zastygły jedynie na chwilę, by rysowniczka mogła zanotować jakąś wartą uwagi sytuację. Żyją przede wszystkim ręce, szczególnie dłonie kobiet o wysubtelnionych, szczupłych i długich palcach, ręce wyrażające tyle — a może więcej **nawet** — co twarze.

O ile w rysunkach czarno-białych zawarła Berezowska pełnię artystycznej ekspresji, o tyle można by mieć pretensje do kolorów. Maja koloruje czasem swe rysunki i czyni to chyba niepotrzebnie.

(Dalszy ciąg na str. 5)

Spór o klucze do miasta Kutna

Dokończenie ze str. 1

Wacław Biliński sfotografował właśnie napis na ścianie domu: „Kto kocha Polskę, ten jest patriotą" i tak był olśniony niezwykłą prawdą sloganu, wymalowanego niedaleko więzienia, że z miejsca zareplikował.

— I po co takich jak ty wysyłać w teren? Wszędzie w miasteczkach jest za mało kin, brakuje także teatrów i filharmonii, nie mówiąc już o operach. Tu jest za mało mieszkań.

Wywód Wacława okazał się dosyć prosty. Odwiedził Urząd Stanu Cywilnego. Kutnowski biskup państwowy okazał się kobietą, i owszem, dosyć przystojną. Ależ się tu rodzą ludzie! 1.800 noworodków wita co roku krzykiem tutejszy świat. Ów przyrost naturalny nie z tej ziemi spowodowany jest także i nudą, o której był łaskaw wspomnieć Jarosław. Żenią się ludzie na potęgę, przeważnie smarkacze, osiemnastolatki z pozwoleniem rodziców w kieszeni, no a mieszkań nie ma. Co 12 miesięcy przybywa prawie 2.000 ludzi, a w przyszłym roku oddanych będzie do użytku niecałe 80 izb! Oto klucz do Kutna.

— Prawdziwe rewelacje — wtrąciłem złośliwie — jak wiadomo, w innych miasteczkach nie ma wielkiego przyrostu ludności, a już mieszkań w bród.

Mój wywód również zdumiewał prostotą. Kobiety pompowały na rynku wodę. Oto klucz! Wprawdzie ojcowie miasta robią dziś wszystko co mogą — woda nadal stanowi problem zasadniczy dla Kutna. Stąd brud, antysanitarne warunki życia. Najlepszy dowód, że władze wojewódzkie zamierzają zamknąć kutnowską Stację Epidemiologiczno-Sanitarną, z powodu antysanitarnych warunków w jakich pracuje. W mieście brud, wypadki duru, zatrucia jadem kiełbasianym.

Wacek nie wytrzymuje.

— Nie rozumiesz nawet kutnowskiej kiełbasy. Jeżeli każda zasadzka milicji w rejonie rzeźni, wykrywa 100 kilo kradzionego mięsa, czyli co najmniej 2,5 tony miesięcznie, to chyba jasne, że muszą kiełbasę szprycować wodą i wszelkim świństwem.

Jarosław popiera mnie, jest wstrząśnięty wizytą w szpitalu. Budynek stary, pamięta jeszcze Wiosnę Ludów. Okna wychodzą na północ, gdyż medycy z tamtych lat sądzili, że słońce przeszkadza chorym w spokojnym zejściu ze świata. Na zdjęcia rentgenologiczne przenosi się chorych na drugą stronę ulicy. Brak windy, po ciężkiej operacji dźwigają sanitariusze pacjenta po krętych schodach. Straszne, szpital z epoki Dickensa.

— Mamy dziś sobotę, prawda? — pytam naiwnie. — W Łodzi nie dostaniesz wódki, a my tu sobie fundujemy na koszt Jarosława po kieliszku „Kryształowej". Oficjalnie, bez kumoterstwa. Dlaczego?

Obaj redaktorzy są zaskoczeni, w restauracji zapachniało sensacją. Mówię jakby niechętnie.

Kutnowskie to powiat wysoce specyficzny. Rozparcelowano tu 126 majątków szlacheckich, część pozostała przy PGR. Zamożniejsi obszarnicy, jak uczy historia, zakładali w Łódzkiem prywatne miasteczka. Z reguły zawłaśnie specyficzne. Nawet miejscowa Milicja Obywatelska przyznaje, że wszystkie ciekawsze przestępstwa, starannie zamaskowane rabunki, są dziełem przyjezdnych. A miejscowi? No owszem, przewodniczący GRN z Ostrowia potrafi wezwać milicję, kiedy mu sklepowa z GS nie zechce sprzedać papierosów po północy, owszem, magazynier Kutnowskich Zakładów Przemysłu Terenowego spije się jak bela, zaśnie pod ławką w kantorze, przedtem wsadzi psa do zorcy do beczki po ogórkach i spróbuje go zakisić. Nic cie-

W Kutnie czas płynie wolno. Złośliwi twierdzą, że miasto ku przyszłości jedzie taką właśnie dorożką.

nie w szpitalu nie ma — wyjaśnia Jarosław, ale jego próba powiązania spostrzeżeń w dialektyczną całość nie jest przekonywająca, chociażby dlatego, że szpital ma wodę i mimo ciężkich warunków radzi sobie nieźle z higieną.

Wychodzimy na ulicę. Zmierzcha. Na ulicy tłoczą się ludzie, sklepy są pełne kupujących. Kutno to ruchliwe miasteczko. Jesteśmy trochę przygnębieni. Trzech redaktorów wyprawiło się do niewielkiego miasta, szukają, węszą, a klucza do miasta jak nie ma tak nie ma. Wacław prezentuje się z nas najlepiej. Beret, rogowe okulary, olbrzymi aparat fotograficzny, skórzana kurtka. Może dlatego zaczepia go młoda, niebrzydka kobieta. Odchodzą na bok.

— Powiatowa córa Korytu — zauważa Jarosław.

Wacław wraca rozpromieniony.

— Złapałem klucz, walimy na dworzec, potem do fryzjera, do komisu i składu mebli!

Biegamy za naszym Sherlockiem Holmesem, zadajemy rozmaitym ludziom pytania, po godzinie lądujemy znowu w „Polonii" trochę zmęczeni. Spór o klucz do miasta rozpoczyna się na nowo. Uprzedzam Wacława.

Wjazdu do Kutna strzegą kolejowe szlabany. Kolejarze stanowią prawie połowę mieszkańców tego miasta, o którym się mówi, że jest jakby wielką dworcową poczekalnią.

strzegali sobie dochody z propinacji, budowali zajazdy, austerie, karczmy. Właściciel Kutna tak samo. Sprowadzał sobie rzemieślników z Sieradzkiego, Wieluńskiego, Poddębickiego. I ta tradycja trwa po dzień dzisiejszy. Za dużo ludzi w Kutnie? Śmieszne rzeczy! Dziś się w dalszym ciągu sprowadza ludzi do pracy z tych samych terenów co i przed stu laty. No, ale najważniejsza jest tradycja wódczana. Miasto i powiat wypijają rocznie alkoholu za 100 milionów złotych. Same podatki od wódki wynoszą 6 milionów złotych rocznie. Za te właśnie pieniądze Kutno rozbudowuje się, powstanie nowy szpital.

— To znaczy, że należy agitować za piciem — Jarosław zwraca się do kelnerki — jeszcze jedną kolejkę prosimy, na rozbudowę Kutna.

Ten gest czyni cały mój wywód jakimś piramidalnym nonsensem.

— Wprawdzie słyszałem o pijaństwie i w innych miastach Polski, przyznaję jednakowoż, że w twojej gadaninie coś jest. Jeszcze to pogłębić i wyjdą jakieś tam nie za bardzo istotne, ale specyficzne cechy miasta okręgu łódzkiego — powiada Wacław.

Jego nowa teoria Kutna jest zupełnie inna. Zaczyna ją wywodzić od prostytutek. Jest ich w Kutnie kilkanaście, imponująco jak na powiatowy szczebel. I ten właśnie fakt, że został zaczepiony, dopomógł mu w znalezieniu klucza do miasta. Goście, przyjezdni czy zamiejscowi stanowią specyfikę Kutna. Kutno to wielki węzeł kolejowy, przejeżdża tędy około 60 pociągów pasażerskich dziennie, setki ludzi czekają na dalsze połączenia. Bufet dworcowy sprzedaje na dobę ponad 700 szklanek herbaty. Z kolei żyje połowa miasta — 3.000 ludzi zatrudnia PKP mnożymy ich przez członków rodzin i otrzymujemy 12.000 ludzi, czyli blisko połowę mieszkańców Kutna. To jest

JANUSZ KONIUSZ

RĘCE

Oto lewa ręka. Wychodzi na wysłuchiwanie rozkoszy, ociera się o skórę muru, pełznie przez ścieżkę w ogrodzie i skacze w dna łodyg. A kiedy usłyszy plusk tlenu w płatkach róży, zatrzymuje się, aby napełnić nim swoje wnętrze.

Czasem przyczaja się w szparach kory i słucha, jak upadają jaskółcze grudki dźwięków.

Tak zaspokojona wraca do mnie.

A oto prawa ręka. Wychodzi na wypatrywanie rozkoszy, gdzie zielone ptaki spotykają się z profilami mórz, niebieskie ryby z sinymi obręczami nieba, kwadraty napadają na stożki, a klocki dziecka miażdżą piramidy faraonów.

Napełnia się kształtami i kolorami jak aparat fotograficzny i tak zaspokojona wraca do mnie.

Takie są moje ręce.

ta. Z hektara można zebrać do 20 kwintali nasienia buraczanego i sprzedać po 2.400 złotych za kwintal. Wieś wykupuje sklepy kutnowskie. Fryzjer stwierdza, że nigdy nie miał tylu chłopskich klientów. Golą się, każą sobie robić masaże „elektryką", perfumować. Kierownik komisu powiada, że wieś kupuje futra, zegarki, aparaty fotograficzne, dopytuje się o telewizory. Kierownik sklepu z meblami — to samo. Chłopi wykupują wszystkie meble z wysokim połyskiem. A więc? Kutno to miasteczko, które żyje z pracy w przemyśle, samo zaś stanowi składnicę towarów dla wsi, punkt zakupu i punkt przejazdowy dla przyjezdnych, którym umilają życie wesołe dziewczęta.

Ale i ten misternie, trzeba to przyznać — sklejony wywód nie wydał się nam przekonywający. Owszem, tak to niby jest, ale bo to jedno Kutno skupia okolicznych chłopów, bo to jedno miasteczko leży na skrzyżowaniu szlaków kolejowych?

Dopiero późnym wieczorem, już w czasie powrotu, uświadomiliśmy sobie oczywistą prawdę. Nie zawsze trzeba szukać klucza do miasteczka. Wystarczy rzetelny, rzeczowy, dobrze skonstruowany materiał poznawczy.

WIESŁAW JAŻDŻYŃSKI

Do Warszawy? Na wprost i wcale niedaleko.

Szpitalik pamiętający Wiosnę Ludów.

JAROSŁAW M. RYMKIEWICZ

MIASTO OTWARTE

Rzeczka nazywa się bodajże Ochnia. Ochnia przepływa przez Kutno. Przepływa? No, tego nie można stwierdzić z absolutną pewnością. I bliżsi będziemy prawdy, jeśli powiemy, że kutnowska arteria wodna stoi w miejscu. Bo też Ochnia jest kanałem raczej niż rzeczką, ściekiem cuchnącym raczej niż wartką i szumiącą strugą. Nad Ochnią unoszą się mgły, jej brzegi porastają trawy i chwasty intensywnie zielone, a zieleń to chorobliwa i trująca. I jeszcze o barwie wody. Ta jest też zielona, zielonożółta, żółta. Taka jest Ochnia. Ta rzeka — rynsztok, jakże przypominająca bulgoczące rynsztoki łódzkich przedmieść, skłania do rozmyślań niewesołych. I kiedy moi współtowarzysze podróży pobiegli, by mieszkańców Kutna nagabywać i o losy miasta rozpytywać, ja, obowiązki reporterskie zaniedbując, stanąłem nad Ochnią i myślałem. Ta rzeka, arteria i rynsztok, jest — tak myślałem — obrazem, wizerunkiem prawdziwym życia w Kutnie. Życia, które jest nieruchome, bezbarwne, zamglone. Tuwim, ten marzył o zamieszkaniu w Kutnie. Albo w Sieradzu. A dziś? Kto dziś marzy o tym, by zamieszkać w Kutnie? Polska prowincja, mgły złotej jesieni, drogi błotniste! To już nie nęci nikogo. Bo kogo może pociągnąć miasto, życie w mieście, w którym jest jedno kino i trzy knajpy i deptak, czyli rynek, kocimi łbami wybrukowany? Tak, ludzie uciekają z Kutna. Przykładem niechaj będzie nam Szkoła Muzyczna. (Cóż za prześliczny nonsens, Szkoła Muzyczna w mieście, w którym nie ma miejsca dla muzyków!). Otóż spośród niemałej na przestrzeni ostatnich lat liczby absolwentów Szkoły, tylko trzech pozostało w Kutnie. Ja się nie dziwię. Cóż bowiem mają robić w Kutnie młodzi muzycy? Mogą grać w orkiestrze „jazzowej" (w knajpie, oczywiście). Albo mogą instruować zespoły amatorskie. I mogą jeszcze nudzić się. Dowoli. Ale ponieważ zespołów amatorskich w Kutnie nie ma, a nudzić się mało kto ma ochotę, absolwenci rozjechali się, porzucili miasto rodzinne. Nie potępiamy ich. Ani ich, ani innych uciekinierów, ani „emigrantów wewnętrznych" — bo i takich, jak się zdaje, w Kutnie nie brak — którzy nasłuchują pilnie wieści z wielkich miast, z Warszawy i z Łodzi. Co prawda, nikt z moich kutnowskich rozmówców do zdrożnych chęci emigrowania z Kutna przyznać się nie zechciał. Ale uciekinierów zdradzają anteny — bardzo liczne! — telewizorów, tu i tam sterczące nad domkami pochylonymi ku ziemi, skrzypiącymi ze starości. Zdradza też potencjalnych uciekinierów z zamglonej kutnowskiej rzeczywistości niesłychany rozwój czytelnictwa. Proszę mnie źle nie zrozumieć. To że z Biblioteki Miejskiej korzysta 2.500 osób, nie licząc czytelników poniżej lat czternastu — a Kutno liczy 26000 mieszkańców — jest faktem tyleż radosnym, co zaskakującym. Cyfra jest bardzo piękna i jej wymowy nie można podawać w wątpliwość. A cień takiej wątpliwości zbudził się we mnie po rozmowie z pewną starszą panią, która oświadczyła: Cóż bo mi pozostało? Tylko książka do poduszki, taka bardziej miłosna.

Cóż bo pozostało mieszkańcom Kutna? Jak się rzekło, jedno kino i trzy knajpy. (Stan spożycia alkoholu! O, ten przewyższa z pewnością rewelacyjny stan czytelnictwa). I jeszcze książka i antena telewizora. Tak ale telewizor jest jeszcze luksusem. A książka? Ta, w warunkach rzeczywistości zamglonej spełnia, jak mi się zdaje, rolę namiastki rzeczywistości i n n e j. Rzeczywistości lepszej i bogatszej. — Tak, tu trzeba by coś zmienić — mówili ci, z którymi w Kutnie rozmawiałem. Co się tłumaczy: w Kutnie trzeba by zbudować jeszcze jedno kino. I salę teatralną. Czyli: trzeba by zbudować dom kultury. Tego chcą kutnowianie. Ba, ale ten brak funduszy! Budowa szpitala jest rzeczą na pewno pilniejszą. I jest jeszcze tyle rzeczy, tyle spraw pilniejszych i ważniejszych niż sprawy kultury. Niż to, co ludzie będą robić w Kutnie między czwartą po południu a dziesiątą wieczorem. A być może, właśnie tu — na dnie rzeczki Ochni, w życiu ludzi między czwartą a dziesiątą — szukać trzeba kluczy do bram — problemów miasta. Takich metaforycznych kluczy, których szukał wytrwale podczas całego naszego pobytu w mieście Wiesław (Jaździński). Choć nie wiem, czy klucze takie można w ogóle znaleźć.

TADEUSZ PAPIER

Legalne szynki i nielegalne kluby

Kluczy do miasta szukałem na ulicach. Pytałem o nie przechodniów. Zajrzałem do kiosku z gazetami. „Proszę pani, czy tu są klucze do miasta?", Pani z kiosku spojrzała na mnie jak na wariata. Przechodził kolejarz. „Gdzie są klucze do miasta?" — zapytałem. Kolejarz obrzucił mnie pół zdziwionym, pół rozbawionym wzrokiem. Pani w kiosku ochłonęła. „Pan sobie życzy?..." „Kluczy do miasta szukam. Kluczy". „To niech pan idzie prosto, potem na lewo, znowu na lewo i znowu na lewo. Znajdzie pan", Zacząłem ją bawić.

Wstąpiłem do sklepu fotograficznego, w którym sprzedaje śliczna dziewczyna. Byłem w restauracji. Aha! Ze sklepu zachowałem spojrzenie i uśmiech dziewczyny. W „Krakusie" jest mowa o takich oczach. Miała je Syberyna. Okazało się, że koledzy redakcyjni byli już tutaj. Poszedłem więc do restauracji. Ale i tu ekipa redakcyjna już była. „Przy tamtym stoliku pili kryształówkę" — wyjaśnił kelner. Więc usiadłem i zacząłem porządkować wrażenia. Zwiedziłem dotychczas: kilka ulic, jedną kawiarnię, trzy restauracje. Nazwy tych szlachetnych, podtrzymujących ducha instytucji: Polonia, Myśliwska, Kutnowianka, Bar nad Ochnią. Piękne nazwy. Piękne instytucje. Można tu wypocząć po pracy. Porozmawiać. Wypić „jedną wódkę". Bo dokąd iść wieczorem? Kino jest jedno. A bary wciąż otwarte i gościnne. Tu, przy tym stoliku można się poczuć człowiekiem. Jak powiada Steinbeck: „Oto człowiek i ostateczna, jasna definicja człowieka: mięśnie spragnione pracy, umysł pragnący tworzyć ponad zwykłe, codzienne potrzeby..." Tu człowiek... „wyrasta ponad własne dzieło... „Jedna czysta, dwie czyste, cztery czyste... Jeszcze raz to samo i śledzika. A potem głową w dół po schodkach, na chodnik, na ulicę! Kutno tańczy, każda dziewczyna jak ogień, a człowiek „wznosi się w górę po szczeblach swych koncepcji"!

Ale przepraszam! Nie wymieniłem jeszcze jednego lokalu. Adres: Kutno, Sienkiewicza 2, „Klub międzyspółdzielniany". Wielka sala, podium na orkiestrę, w rogu bar, dokoła stoliki. Za tą salą jeszcze jedna salka, krzesła, telewizor. Siedzę przy stoliku, popijam czarną kawę i obserwuję jak moja Syberyna o szalonych oczach tańczy z wysokim brunetem. Dokoła siedzą młodzi ludzie, piją kawę, palą „lulki". „Poproszę jedną wódkę" — rzekłem na „chybił trafił". Pytanie zabrzmiało jak ordynarna kpina. Nie do wiary! Wódki się nie sprzedaje. Nawet po cichu nie. Naprawdę. Czyżbym trafił na oazę sprawiedliwych? Czyżby schodzili się tutaj kandydaci na pozytywnych bohaterów naszych romansów? Czyżby wreszcie ów klucz?... Ale cyt! Moje wątpliwości znajdują jakie takie uzasadnienie. Bo istotnie. Jesteśmy tu wszyscy trochę w nieporządku. Kierowniczka okazuje dokument, z którego wynika, że impreza ta w odróżnieniu od szynków jest nielegalna. „Prezydium PRN (pismo pochodzi z wydziału kultury) stwierdza, że w waszej świetlicy organizowane są bez zezwolenia dancingi. W związku z powyższym faktem PPRN wzywa... do wniesienia zaległych opłat... i formalnego załatwienia zezwolenia na ich organizowanie do dnia... Jeżeli do tego terminu sprawa powyższa nie zostanie uregulowana organizatorzy zostaną pociągnięci do odpowiedzialności..."

A ja myślałem, że to piękna inicjatywa, że wreszcie jakiś promyk... Bieda w tym, że ojcowie Kutna nie potrafią zaklasyfikować takiego dziwoląga, w którym nie sprzedaje się wódki, a tylko kawę, w którym można zatańczyć, porozmawiać, zobaczyć spektakl telewizyjny. Czy to klub, czy to placówka kulturalna, czy przedsiębiorstwo dochodowe? Strach ogarnia człowieka, że można by się pomylić. Więc mimo życzliwego stosunku MO, mimo poparcia Komitetu Powiatowego PZPR, mimo zachwytu gości... Nie, nie prorokujemy, wypada raczej wierzyć, że prosta prawda zwycięży: zyski materialne ciągnie się z knajp, wychowawcze z klubu ZMS.

Oczywiście, sprawa jest drobna i z pewnością Klub dopełni formalności, a ojcowie miasta będą przychodzić na młodzieżowe dancingi.

Wychodząc z klubu myślałem już jak urodzony optymista: może ci właśnie młodzi ludzie odnaleźli już klucz do miasta? Chwytają w rękę przyszłość, nadzieja Kutna — młodzież.

Zdjęcia do reportażu „SPÓR O KLUCZE" WACŁAW BILIŃSKI

Na ścianach domów hasła na każdą okoliczność.

JANUSZ KŁOSIŃSKI

Aktor i krytyka

W cyklu naszych wypowiedzi na temat stosunków krytyki i teatru, publikujemy dziś artykuł Janusza Kłosińskiego, aktora Państwowego Teatru Nowego

W ciągu 11 lat pracy w teatrze moje stosunki z nim uległy zasadniczej zmianie. Byłem rozkochanym w teatrze widzem, z radością opłacającym kartę uczestnictwa w ulubionej zabawie, idącym ślepo za biegiem akcji i uczestniczącym we wzlotach i upadkach bohaterów scenicznych. Dziś jestem „człowiekiem teatru". Będąc na widowni śledzę raczej robotę kolegów i delektuję się lub zżymam; będąc na scenie cieszę się teatrem, jeśli rozwiklam zagadkę postaci scenicznej i podam ją w sposób niewymuszony, w gotowej formie widzom, którzy darzą mnie zaufaniem moralnym i materialnym. Widzowie powierzają mi czas i środki na rozwiklanie pasjonujących ich problemów, na co oni sami nie mają albo czasu, albo dyspozycji, albo chęci.

Myślę, że teatr jest tylko dla tych ludzi, do których i ja należałem przed jedenastu laty — dla widzów. Jak religia dla wierzących, a nie dla kościołów — państwa dla obywateli, a nie dla rządów. W przeciwnym razie mamy do czynienia z nadużyciem. Dlatego też sądzę, że oprócz osobistych zamiłowań i potrzeb recenzent jest wybranym przez grupę ludzi (czytelników danego pisma), obdarzonym pełnomocnictwami, kredytem i zaufaniem, „inspektorem", który czuwa czy teatr nie wylgiwa się, nie gnuśnieje, nie zawodzi. „Pochodzenie klasowe" recenzenta to widz. Nie wolno mu o tym zapominać. Jeżeli jest znudzonym „znawcą" teatru — przypomina żołądkowca, który ludziom z dobrym apetytem obrzydza swoją miną obiad. Jeśli jest „przyjacielem" teatru i „pomaga" teatrowi, konszachtuje z teatrem, przymyka oczy na partactwo, na pomijanie w obsadach zdolnych ludzi, przemilcza potknięcia „godnych" lub przyjaciół, chwali niezasłużenie, reklamuje — sprzeniewierza się widzom i szkodzi, a nie pomaga teatrowi. Pilnować interesów widza, wytykać łatwiznę, bumelanctwo teatralne, dyletantyzm — to jednocześnie najlepsza troska o rozwój teatru. Reżyser i aktor, sami, jeśli tylko będą zmuszeni do nieustannej, sumiennej, twórczej pracy, znajdą drogi rozwoju. Nikt za nich tego nie zrobi.

Jeżeli chodzi o to jak widzowie wyobrażają sobie recenzje, niech wypowiedzą się oni sami. Natomiast ja, jako aktor-widz, jeśli np. czytam recenzję o przedstawieniu krakowskim, chciałbym w sposób jasny i plastyczny poznać formę przedstawienia. I nie mam nic osobiście przeciw określeniom: „z wdziękiem", „gębaczem był nasz pyszny", „paradny", „zamaszysty humor", „poprawny", „nie udźwignął".

Myślę, że każde z tych określeń było kiedyś świetnym lapidarnym rysem charakterystycznym jakiejś jednej roli, jednego aktora, użytym przez jednego recenzenta. Źle, jeśli staje się wyświechtanym nic nie znaczącym frazesem zastępującym może nie tak zgrabne, ale oryginalne, aktualne sformułowanie.

Kiedy postawiłem sobie pytanie co mi dały, jako aktorowi, recenzje teatralne, pomyślałem, że poza pewną dozą przyjemności i przykrości — prawie nic. To stwierdzenie nie dawało mi spokoju. Wyciągnąłem spośród szparagałów przez 11 lat nie ruszane wycinki z recenzjami i zacząłem czytać. I oto stwierdziłem, że doskonale pamiętam sformułowania dotyczące mojej pracy i że moja świadomość artystyczna jest w bardzo poważnym stopniu uzależniona od tych sformułowań. Z kolei byłem przerażony i skłonny recenzjom przypisać zbyt ważką rolę. Czytałem, czytałem bez gorączki popremierowej, kiedy to słucha się całym sobą opinii kwitującej paromiesięczny wysiłek i ustalającej pozycje na najbliższe miesiące. Magicznej opinii, która albo uśmiecha się do aktora z wszystkich zakątków wielkiego miasta albo wyszczerza zęby w miejscach najbardziej publicznych. Czytałem i doszedłem do wniosku, że każda recenzja szczera i choć trochę pomyślana — coś mi dała.

My w teatrze posługujemy się jednostką miary, która jest sumą stopnia trudności roli, emploi aktora i rzeczywistej jego pracy, którą włożył w pokonanie trudności. Np. rola „samograj" — gdy aktor jest „wypisz—wymaluj" do tej roli — budzi mniej uznania, niż rola trudna, nieefektowna, której dał radę ambitny aktor. A to przecież nie jest ocena jedynie słuszna. W końcu decyduje widz. I już nawet reżyser sztuki, który w czasie pracy nad przedstawieniem cenił trud źle obsadzonego aktora i pasjonował się jego osiągnięciami, na którymś z rzędu przedstawieniu — już jako widz — doznaje rozczarowania. Zamiast męczącego się bohatera radby ujrzeć „pewniaka" w tej roli.

Recenzent jest widzem i tylko widzem — nie ma obowiązku w odbiorze swoich wrażeń uwzględniać wiedzy o danym aktorze, tego, że jest inteligentny, pracowity, że w czasie pracy miał osobiste zmartwienia i że pracował z wielkim poświęceniem. Wprost przeciwnie. Interesuje go rezultat pracy. Domaga się najlepszej roboty, najlepszego teatru. Ta inna jednostka miary recenzenta jest czymś najistotniejszym i najcenniejszym dla nas aktorów. Myślę, że tak upragniony wspólny język recenzentów i teatru byłby najgorszym wrogiem jednej i drugiej strony. Recenzent nie może być reżyserem omawiającym po akcie wyniki pracy. Już kilka razy spotykałem się z tym, że te role, które sobie najbardziej ceniłem spotykały się z największymi zarzutami — i odwrotnie — role, które lekceważyłem spotykały się z uznaniem. Pierwsze dostarczyły mi jako człowiekowi najwięcej przeżyć i miłych uczuć (mimo przykrych recenzji). Ale recenzje przypomniały mi, że teatr nie jest dla nas aktorów, nie dla naszego rozwoju — że jest przede wszystkim dla widza, że nie jest celem samym w sobie.

Recenzent powinien w ocenie naszej pracy posługiwać się językiem widowni, nie doradzać jak mamy grać, jakie miny robić; w ogóle nie powinien w recenzjach zaspokajać swoich niewyżytych instynktów reżyserko-aktorskich. Niech recenzent mówi np. że „król jest za łagodny", a już aktor pomyśli czy to sprawa sylwetki, a może charakteryzacji, może kostiumu, może głosu. Niech recenzent nie boi się mówić po prostu, że ta scena była nudna, a ta miła, tamta groźna. Naszym obowiązkiem jest przekładać jego określenia na nasz teatralny, fachowy język.

Nasza praca jest tylko wtedy naprawdę wartościowa, jeśli uzyska aprobatę zarówno fachowego środowiska, jak i laików — których zawodowym przedstawicielem jest recenzent.

WŁADYSŁAW ORŁOWSKI

O malarskich koloniach

czyli formie mecenatu ludowego

Inicjatywa powstała w Vojvodinie, a więc w części Jugosławii z pewnością nie najbardziej malowniczej, przypominającej do złudzenia jednostajną równinę mazowiecką. Ściśle mówiąc pomysł malarskich kolonii zrodził się w 1952 roku w miasteczku Senta.

Senta liczy sobie około 25 tysięcy mieszkańców i jest przeciętnym miastem powiatowym. Zwraca uwagę może tylko piękny bulwar nad Tisą. Bulwar ten zbudowano za nieboszczki c. k. Austrii, podobno na przyjazd cesarza Franciszka Józefa. Cesarz wprawdzie przybycie swoje w ostatniej chwili odwołał, ale europejski bulwar został. Ponadto Senta słynie od lat z urody swoich dziewcząt. W okresie międzywojennym handlarze żywym towarem mieli stąd wywieźć wiele pięknych kobiet do południowo - amerykańskich lupanarów. Dziś stosunki oczywiście się zmieniły, ale Senta z pewnością nie ma cech wielkomiejskich.

Ale właśnie tutaj znaleźli się ludzie, którzy doceniając rolę malarstwa w życiu społeczeństwa, postanowili spróbować ciekawej formy ludowego mecenatu. Tak powstały tzw. kolonie malarskie. O mecenacie ludowym pisze się i mówi wiele, ale przecież jeśli chodzi o malarstwo stalugowe, to stale boryka się ono z poważnymi trudnościami materialnej natury.

Byłoby przesadą twierdzić, że jugosłowiańskie kolonie malarskie rozwiązują to zagadnienie. Niemniej jednak są one konkretną formą pomocy dla malarzy — stalugowców i dla rzeźbiarzy. W tej chwili — wzorem Senty — już sześć miasteczek vojvodińskich zaprasza na kilkutygodniowy pobyt malarzy i rzeźbiarzy z całego kraju. Artyści otrzymują wygodne mieszkania oraz pełne utrzymanie z funduszów miejscowej rady narodowej.

Pozbawiwszy w ten sposób malarzy troski o dach nad głową, jedzenie i napitek, władze komunalne zgłaszają tylko jedno życzenie pod adresem „kolonistów": malujcie! Stworzyliśmy wam warunki dla pracy twórczej — reszta należy do was.

Historia zna dwojaką formę mecenatu: albo mecenas miesza się do twórczości swego podopiecznego, narzuca mu swoją wolę w zakresie tematyki, albo też — co zdarzało się rzadziej — wielkodusznie pozostawia artyście pełną swobodę twórczą. Bawiąc przed paru miesiącami w Jugosławii, badałem, czy kolonie malarskie nie są aby pewną formą „ustawiania" artystów. Dlatego odwiedziłem Sentę, Baczką Topolę i Beczej, a więc trzy miasta, w których odbywają się kolonie. W Baczkiej Topoli obejrzałem wystawę prac, będącą efektem zimowych kolonii malarskich w tym mieście. Przy tej okazji przekonałem się naocznie, że nie ma tu mowy o jakimś krępowaniu inwencji twórczej artystów. Tylko niektóre obrazy dotyczyły tematycznie miasta i jego okolic. Obok nich wisiały prace o tematyce zupełnie niezwiązanej z terenem, na którym odbywały się kolonie. Widziałem też i obrazy abstrakcyjne. Np. profesor Akademii Sztuk Pięknych w Belgradzie Zoran Petrović zamieścił na wystawie zupełnie dziwaczny, chociaż ciekawy obraz, jakąś skomplikowaną kompozycję poskręcanych kawałków żelaza, jakichś fragmentów maszyn itp.

Zapytywałem organizatorów kolonii malarskich, a więc przedstawicieli rad narodowych, czy jest im absolutnie obojętne, co będą malowali artyści i jakim kierunkom malarskim hołdują w pracach wykonanych podczas trwania kolonii. Odpowiadali jednakowo: — Niech każdy malarz szuka własnej drogi artystycznego wyrazu. Nam wystarczy sam fakt, że dopomagamy mu w twórczości.

Wystawa, którą zwiedziłem, przekonała mnie jeszcze o jednym, mianowicie, że w koloniach uczestniczą najpoważniejsi malarze jugosłowiańscy. Widziałem tam płótna jednego z najwybitniejszych współczesnych malarzy jugosłowiańskich Aleksandra Czelebonovića, sekretarza Związku Malarzy Aleksandra Lukovića, znanego prymitywisty Vanjeka Tivadara, profesorów belgradzkiej Akademii Miłosza Bajića, Dorde Boszana i innych. Wspomniany przeze mnie uprzednio prof. Petrović wystawiał ostatnio obrazy w Paryżu, gdzie spotkały się z zainteresowaniem. Nie przeszkadza mu to wystawiać prace w Baczkiej Topoli, która jest miasteczkiem 18-tysięcznym.

Czy zatem władze komunalne, fundujące artystom pobyt na koloniach, nie mają pod ich adresem żadnych życzeń? Tak nie jest. Przede wszystkim malarz uczestniczący w koloniach jest zobowiązany do uczestnictwa w wystawie zorganizowanej na zakończenie — jeśli tak można powiedzieć — turnusu. Ponadto prosi się malarzy, by wygłaszali dla ludności prelekcje o sztuce.

Interesowałem się również ludźmi sprawującymi ów mecenat ludowy. Rozmawiałem z Gezą Tripolskim, sekretarzem komitetu dla spraw kultury w Sencie, który był jednym z inicjatorów kolonii. Nie jest to człowiek o jakiejś specjalnej wiedzy w dziedzinie malarstwa. Pytałem go, czy rozumie nowoczesne kierunki w sztuce, reprezentowane przez niektórych uczestników kolonii. Odpowiedział mi szczerze:

— Nie wszystko rozumiem. Ale to chyba nie jest ważne. Wystarczy, że szanuję prawo każdego artysty do malowania po swojemu.

— A czy wystawy, jakie urządzacie każdorazowo po zakończeniu kolonii cieszą się powodzeniem u ludności?

— Z tym było różnie. Z początku przychodziło zaledwie po parę osób. Podobało im się tylko malarstwo tradycyjne. Ale stopniowo z roku na rok frekwencja na wystawach rośnie. Ludzie zaczynają interesować się różnymi rodzajami malarstwa.

— Czy inne dzielnice kraju nie idą za waszym przykładem?

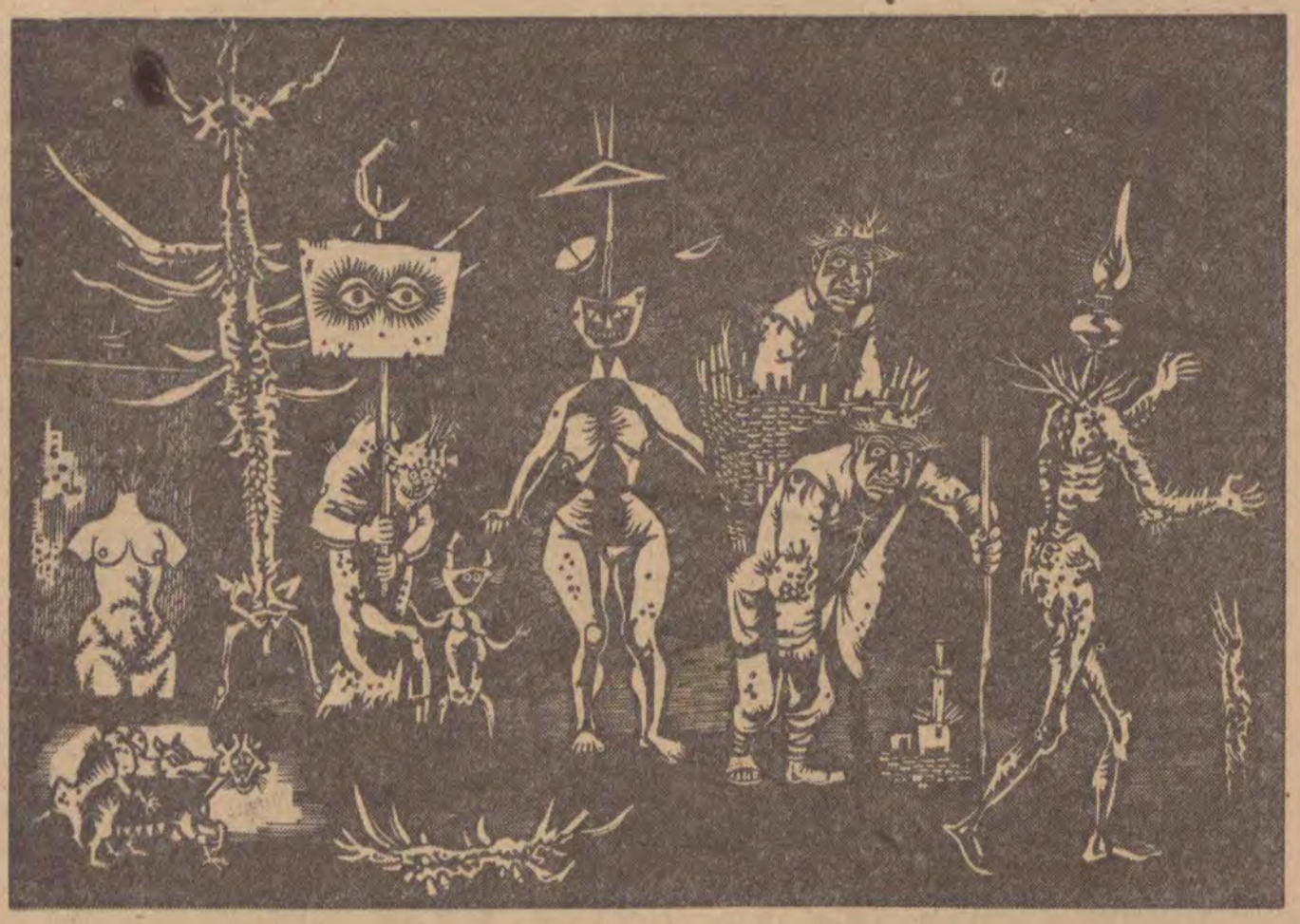

F. Mihelič: Pogrzeb iluzji

— Na razie kolonie są naszą vojvodińską specjalnością.

Nie mogłem zapoznając się z koloniami malarskimi pominąć wizyty u ich duchowego ojca — Milana Konjovića. Uważany jest on za najwybitniejszego ze współczesnych malarzy jugosłowiańskich. Wiele lat w okresie międzywojennym spędził w Paryżu, wrócił jednak do kraju i osiadł na stałe w Somborze, w rodzinnej Vojvodinie. Obecnie jest dyrektorem miejscowego niedużego muzeum, co nie absorbuje artyście zbyt wiele czasu i pozwala mu spędzać najlepsze godziny dnia na malowaniu. Miarą uznania dla malarstwa Konjovića może być chociażby fakt, że ostatnio jego właśnie obraz ofiarował Tito w prezencie prezydentowi Turcji Menderesowi.

Muzeum w Somborze zastałem zamknięte z powodu remontu. Konjović był jednak w swoim atelier na pierwszym piętrze. Towarzyszące mi osoby musiały dość długo bębnić w umówiony sposób w rynnę i nawoływać: „Milan! Milan!", nim artysta zrzucił nam przez okno klucz do drzwi wejściowych muzeum.

Na moje spotkanie wyszedł postawny mężczyzna w starszym wieku, ale doskonale wyglądający, władający biegle francuskim i niemieckim. Zaczęliśmy oczywiście od oglądania obrazów. Nie na temat byłby tu jakiś szerszy opis twórczości Konjovića. Nadmienię tylko, że malarstwo jego nie jest naturalistyczne. Operuje on deformacją, ale jedynie do pewnej granicy, gwarantującej obrazom minimum czytelności. Tematycznie przeważają pejzaże vojvodińskie, widoki winnic, pól, snopów ustawionych w sterty itp.

— To jest moje artystyczne credo — powiedział mi Konjović. — Jestem dzieckiem XX wieku, ulegam wpływom nowoczesnego malarstwa. Ale nie naśladuję mechanicznie zachodnich prądów. Choć nie wprowadzam do obrazów tematyki folklorystycznej, jednak malarstwo moje jest w treści głęboko jugosłowiańskie. Uważam, że artysta winien czerpać natchnienie dla pracy w rodzinnym kraju.

— Czy z tych powodów patronuje pan koloniom malarskim? — spytałem.

— Tak — brzmiała odpowiedź — i cieszę się, że w poglądach swoich nie jestem odosobniony. Na koloniach malarskich artyści pozostają pod przemożnym wpływem piękna naszego kraju i to nie może minąć bez śladu w ich twórczości.

DOM KSIĄŻKI

(Dalszy ciąg ze str. 5)

Trudno też taić, że bezwzględnie najlepsze, najbardziej sugestywne są te rysunki Maji — którym patronuje Amor.

Piórko Berezowskiej wędrowało przez stulecia i chociaż Maja ilustrowała ulubione fraszki i fragmenty większych poemacików czy wierszy — począwszy od Reja, a skończywszy na Sztaudyngerze — w Albumie tym, słowo jest jedynie ilustracją do pełnych dynamizmu rysunków.

EZE

Maja Berezowska: „Piórkiem przez stulecia".

Baedeker warszawski

Oto przewodnik*) po dzisiejszej Warszawie zręcznie spreparowany przez współpracownika „Przekroju" — Olgierda Budrewicza. Tenże „Przekrój" co atrakcyjniejsze wyjątki niedawno drukował. A więc ci, którzy czytali tamte teksty wiedzą, że nie chodzi o żaden sztywny, oficjalny przewodnik, ale o sprawy obyczajowe, towarzyskie, plotkarskie. O czym zresztą autor powiada w przedmowie. A ponieważ autor w przedmowie zastrzega się jeszcze, że niewiele go będzie obowiązywać i zamierza potraktować ludzi i sprawy z przymrużeniem oka — nie powinniśmy się dziwić ani czynić mu zarzutów w rodzaju: za dużo pan widzi w Warszawie waluciarzy, zboczeńców, puszczających się dziewcząt, sprzedających (się) mężatek — bo zza przymrużonych oczu różnie widać. Mam nadzieję, że weźmie to pod uwagę przyszły kronikarz Warszawy, którego Budrewicz zaprasza do korzystania z Baedekera.

Lektura „Baedekera" przynosi jednak współczesnemu czytelnikowi rozrywkę i niewątpliwie będzie dla przyszłego kronikarza pożyteczną. Są tam niezłe anegdotki, ciekawe (nie tylko dla snobów) informacje. Razi trochę w tym wszystkim skłonność do efekciarstwa, przypisywanie inteligentnie na ogół plotkującym dzisiaj paniom wyszarganych w humorze trzeciorzędnym zdań typu: „Ta szantrapa ma już trzeciego misia", razi pochopne informowanie potomnych jakoby w dzisiejszych czasach wystarczały kobietom krótkie propozycje: „Mam mury, szkło i adapter, chodź, zrobimy balet"...

Ale w sumie — Baedeker jest lekturą pożyteczniejszą od niejednego kryminału.

T. Z.

***) Olgierd Budrewicz: „Baedeker Warszawski", Czytelnik 1958. Cena 23 zł.**

Ciasna brama

Gdzie jest subtelny, analityczny intelektualista z „Lochów Watykanu" i „Fałszerzy", twórca niezapomnianego Lafcadia? Z kart „Ciasnej bramy" jawi się myślicie! zgoła innego pokroju — mistyk, pseudo-asceta, masochista psychiczny, fanatyk pozaziemskich celów. Świat, w którym obraca się bohater opowiadania, Hieronim, pełen jest ludzi, których jedynym zajęciem jest, jak się wydaje, doskonalenie własnej duszy (i to drogą poświęceń nikomu zresztą niepotrzebnych), w myśl sentencji z Pisma Św., będącej mottem utworu: Usiłujcie wejść przez ciasną bramę. (Łuk. XIII.24). Takie też są dzieje jego miłości — niemiłości do starszej o dwa lata Alissy, dzieje uczucia powstałego już pomiędzy dwojgiem dzieci, poświęconego początkowo na rzecz starszej siostry, również zakochanej w Hieronimie — a później, dalibóg, nie wiem w imię czego... Nie bardzo bowiem można pojąć skrupuły i „męki duszne" Alissy, skoro jedynym ich powodem jest wiara, że cierpienie uszlachetnia. A zatem, cierpmy w celu doskonalenia duszy.

Mętna i idealistyczna filozofia utworu, w którym żywych ludzi pozbawiono mięsa i kości na rzecz pseudoduchowych wartości, pozwala jednak spostrzec olbrzymią drogę pisarza — od „Ciasnej bramy" do „Lochów Watykanu".

A jak ocenić fakt wydania książki w nakładzie 10.000 egz. i cenie 12 zł? Zapewne redaktorzy „Czytelnika" pragnęli dać społeczeństwu pogląd na całokształt twórczości Gide'a. Ponieważ jednak nie wydaje się wcale szeregu innych utworów pisarza (np. „Prometeusza") nie widzę powodu, dla którego wznowiono akurat tę właśnie, wczesną i słabiutką opowieść.

A. G.

Andre Gide: „Ciasna brama". Czytelnik 1958 r.

JANUSZ KONIUSZ

PROMETEUSZ

Wystrzeliły elektrony ze swych orbit — ogień zwalił się na przelamane w niebo dachy. Wirują rulony powietrza. Płomienie jak stada ośmiornic pełzną do zbiorników wilgoci i nawet nie zakrztuszą się barchanową kołdrą ziemi. Ludzie wiją się w pokrowcach dymu.

Nieustannie pęka noc.

Stoję naelektryzowany od włosów do paznokci stóp. Marzę o rozdarciu ognia na miliardy robaczków świętojańskich i wpięciu ich do ogona Wielkiej Niedźwiedzicy.

Niechby stamtąd wskazywały drogę turystom międzyplanetarnym.

EDWARD EMSKI

Pustynne szczury

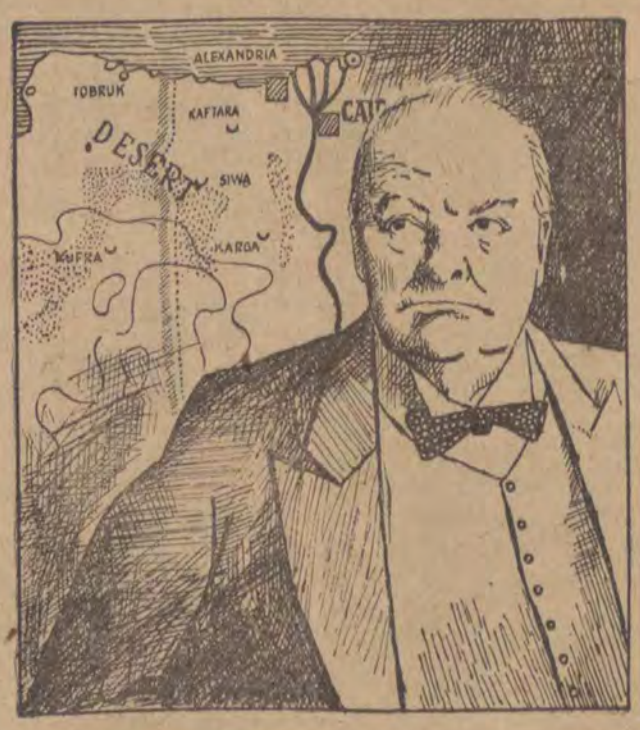

Tego jeszcze nie było! Wiemy już coś niecoś o „comandosach", „ludziach - torpedach" i lotnikach z samobójczych eskadr Kamikaze. Ci legendarni już dziś ludzie tworzyli nowe, zupełnie specyficzne formy walki. Dobierali się starannie, łączyli w drobne, na ogół samodzielne grupy i... zaskakiwali nieprzyjaciela nieprawdopodobnym tupetem, umiejętnością i precyzją walki, szaleńczą odwagą. Formę działania w bezkresnym morzu ruchomych piasków, pozornie nieprzebytym dzikim pustkowiu stworzyli weterani VIII armii, stare wygi pustyni, dla których, nie wiadomo skąd, wzięła się nazwa: „pustynne szczury". Odcinali się wyraźnie, razili na tle szarej żołnierskiej masy z regularnych dywizji, walczących zaledwie kilkaset kilometrów dalej na północ, na najeżonym bunkrami i pociętym zasiekami z drutu kolczastego wybrzeżu Afryki.

O życiu, i walce tych ludzi opowie Czytelnikom autor, uczestnik kampanii afrykańskiej.

* * *

2 września 1942 roku szwadron LRDG*) — wyruszył z bazy w El Fajum (około 100 kilometrów na południe od Kairu) kierując się na południowy zachód, w stronę Libijskiego Morza Piaskowego.

W skład szwadronu wchodziły trzy patrole — nowozelandzki, rodezyjski i angielski — łącznie 22 pojazdy mechaniczne: jeepy i lekkie ciężarówki.

Libijskie Morze Piaskowe ciągnie się pasem szerokości około 150 kilometrów w kształcie łuku wygiętego na zachód. Jego część południowa biegnie mniej więcej równolegle do Nilu, jakieś 400—500 kilometrów na zachód od rzeki, następnie „morze" skręca na zachód i biegnie równolegle do wybrzeża w odległości przeciętnie 300 kilometrów. Na wysokości Derny (między Tobrukiem a Benghazi) łączy się z Morzem Piaskowym Kalanszo, ciągnącym się 600 kilometrów na południe, aż do oazy Kufra, pasem takiej samej mniej więcej szerokości. Całość przypomina literę „N" — ramię pionowe to Morze Kalanszo, ramię wygięte — Morze Libijskie. Tam, gdzie wschodni skraj Morza Libijskiego skręca z kierunku północnego na zachód, leży oaza Siwa, 400 kilometrów na północny wschód od oazy Siwa leży El Alamein, mała osada na wybrzeżu, o sto kilkadziesiąt kilometrów na zachód od Aleksandrii.

Między oazą Siwa a El Alamein ciągnie się depresja Kwattara — jakieś 300 kilometrów błotnistych terenów, tworzących naturalną, nie do przebycia przeszkodę — rygiel Cyrenajki. Dostęp do Cyrenajki od wschodu dają dwa przesmyki - furtki: w rejonie El Alamein, szerokości około 50 kilometrów, i w rejonie Siwa, o połowę węższy.

Druga brama prowadzi do Cyrenajki z południa, z głębi pustyni. Stary szlak karawanowy z oazy Kufra, wzdłuż zachodniego skraju Morza Piaskowego Kalanszo — na Jalo, El Haseiat do Dżedabja na wybrzeżu.

Linia frontu przebiegała w rejonie: El Alamein — północno-wschodni skraj depresji Kwattara. Zamykała północną furtkę do Cyrenajki. W rejonie oazy Siwa nie było wprawdzie linii frontu w zwykłym tego słowa znaczeniu, prawe skrzydło wojsk niemiecko-włoskich ubezpieczały jednak liczne, ruchliwe patrole i stałe rozpoznanie lotnicze. Furtka ta nie była zamknięta na głucho, ale skorzystanie z niej dawało mało widoków powodzenia — oddział przemykający się tędy musiał się liczyć z wykryciem i zniszczeniem.

Bramę południową ryglowały poważne siły niemiecko-włoskie w rejonie Jalo, czujne i kierujące specjalną uwagę na kierunek oazy Kufra — jednej z baz wypadowych Grupy Pustynnej Dalekiego Zasięgu.

Libijskie Morze Piaskowe to łańcuchy wydm, biegnących w ogólnym kierunku północ-południe, oddzielonych od siebie szerokimi na kilka kilometrów nieraz dolinami. Wydmy osiągają wysokość 200 metrów i więcej. Grzbiety mają ostre jak brzytwa. Piasek to wspaniałe tworzywo, a wiatr wielki artysta. Najbardziej fantastyczne kształty, jakie sobie można wyobrazić, składające się podobieństwem na całość beznadziejnie monotonną, drapieżną, dziką i piękną. Piasek. Nic poza piaskiem. Żadnego kamyka. Piasek gładki jak stół. Piasek pomarszczony, łagodnie falowany. Zbocza strome. Zbocza łagodne. Zbocza opadające pionowo. Doliny proste. Doliny wijące się jak wąż. I tylko piasek. Nic poza piaskiem. Żadnego śladu życia. Żadnego ruchu. Pióropusze, które wiatr wyczarowuje z grzbietów wydm nie są ruchome, nie są życiem. Są tylko częścią składową tego dziwnego, księżycowego krajobrazu. Urzekającego. Ten krajobraz urzeka swoją grozą, dzikością, niezwykłym kolorytem. Żadnego ruchu. Żadnego śladu życia. I oto raptem cud! Krzew. Zieleń! Mięsiste liście nabrzmiałe sokiem. Rośnie z tego piasku, na dnie piaszczystej doliny, świeży, żywy i — samotny.

★

Szwadron osiągnął Morze Piaskowe w rejonie studni Ain Dalla — 500 kilometrów w linii prostej od El Fajum, 300 kilometrów na południowy wschód od oazy Siwa. Trasa dotychczasowa wiodła „normalną" pustynią. Dla tych doświadczonych szczurów pustynnych była to zabawa. Teraz zaczynała się wielka niewiadoma. Morze Piaskowe uchodziło za nie do przebycia. Dlatego właśnie wybrali tę trasę. Żaden człowiek przy zdrowych zmysłach nie mógł przewidywać, że znajdą się szaleńcy, którzy wpakują się w te piaski, i to zmotoryzowaną kolumną. Mogli więc liczyć na pełne zaskoczenie nieprzyjaciela. Nie mieli zresztą wcale pewności, że przebrną. Wiedzieli, że zrobią wszystko, co w ludziej mocy. Mieli wiarę w swe siły, w swoje duże doświadczenie pustynne. Byli zresztą nie tylko żołnierzami. Byli — i to może przede wszystkim — sportowcami. Nęciło ich to, co niezwykłe, czego jeszcze nikt inny nie próbował, co wydaje się niewykonalne.

Postawa ta cechowała przede wszystkim ich dowódcę, Major Easonsmith [2]), prosty, otwarty, bezpośredni, miał ich pełne zaufanie. Jego jasny sposób mówienia, okraszony powolnym uśmiechem, odbijał wewnętrzny spokój, doskonałą równowagę, dojrzałe rozważenie spraw życia i śmierci. Jeśli ktokolwiek miał jakieś wątpliwości, nigdy tego nie okazywał. Gdy się było z nim, wszystko było proste i oczywiste. Próbować. Dać z siebie wszystko. To jedno się liczyło. Powodzenie było właściwie sprawą drugorzędną.

Teraz mieli zagłębić się w Morze Piaskowe. Wyjść na jego zachodni skraj w rejonie „Wielkiego kopca", następnie około 300 kilometrów marszu wzdłuż zachodniego skraju — na północny zachód — by znów zanurzyć się w Morze Piaskowe, tym razem wprost na północ. Łącznie ponad 600 kilometrów. Najpierw dostać się do środka tego „n" ze wschodu na zachód, a następnie wyjść z niego — z południa na północ.

Marszruta biegła pod kątem prostym do linii grzbietów wydm. Trzeba było w nie kończącym się trudzie, pod bezlitosnym słońcem, forsować jeden łańcuch wydm po drugim. Piaskie doliny między grzbietami były zdradliwe. Raz po raz koła zaczynały buksować i wozy jadące rojem stawały jeden po drugim. Tylko jeep dowódcy rzadko grzęznął — major miał szczególnie dobre oko i w porę dostrzegał niebezpieczne odcinki. Zaczynało się wyciąganie wozów. Z podkładów — stalowych rynien z wierconymi dla obniżenia ciężaru otworami, o długości 2 metrów — układano rodzaj szyn, kierowca ostrożnie ruszał, reszta załogi pchała, wóz posuwał się metr po metrze, aż wydostał się wreszcie na pewniejszy grunt. Niewspółmiernie większego wysiłku wymagało wjechanie na wydmę i przejechanie grzbietu, i często cały szwadron musiał przerzucać wozy pojedynczo jeden po drugim. I tu układano szyny z podkładów w najgorszych miejscach. Specjaliści od „podrzucania" podkładów — była to trudna sztuka i ci, którzy ją posiedli, mieli pełne ręce roboty — czekali dalej i gdy tylko koła zaczynały buksować, umiejętnym ruchem umieszczali podkład pod kołem.

Dużo zależało od wyboru trasy. Gdy osiągali nowy łańcuch wydm, major jechał swoim jeepem naprzód i próbował w różnych miejscach, aż udało mu się wyjechać na grzbiet. Twarde zbocza wydm są zwykle bardzo strome, a zbocza łagodne — grzaskie. Należało więc znaleźć za każdym razem szczęśliwy kompromis. Nadto wydmy niezbyt strome po jednej stronie grzbietu, po drugiej zazwyczaj opadają prawie pionowo. Wkrótce wypracowano specjalną metodę, wymagającą dużego kunsztu — wjeżdżało się na pełnym gazie i na samym grzbiecie „sadzało" wóz, to jest powodowało rozmyślne ugrzęźnięcie. Cześć szwadronu czekała na grzbiecie wydmy i powoli spuszczała wóz na dół. Jeśli się wóz „posadziło" za wcześnie, nie można go później było wyciągnąć — jeśli za późno, wóz wykonywał skok z wysokości 15—20 metrów. To ostatnie zdarzyło się dowódcy patrolu angielskiego. Jego jeep pokoziołkował na dół z grzbietu wydmy, przygniatając oficera i kierowcę. Obu zabrał samolot, wezwany przez radio, gdy szwadron osiągnął „Wielki kopiec". Czekała już tam na nich benzyna, woda i żywność dostarczone z odległej o 400 kilometrów oazy Kufra. Z oazy tej także przyleciał samolot po rannych. Pilotowi udało się odnaleźć „Wielki kopiec" dopiero przy drugim locie, tak że szwadron miał przymusowy dwudniowy odpoczynek przed ruszeniem w dalszą drogę.

Dostali się do środka „n". Teraz należało ruszyć na północ. Rozpoczęła się ta sama ciężka, wyczerpująca praca. Wiedzieli już jednak na pewno, że skoro dotarli tutaj, najcięższe mają za sobą. Dalsza trasa była stosunkowo łatwiejsza. Tylko stosunkowo. Zdarzało się, że cały dzień trudu dawał w rezultacie 10 przebytych kilometrów.... Nikt nie narzekał, I to było dobre. W każdym razie szli naprzód.

Wreszcie zostawili za sobą ostatnie wydmy. Byli w Cyrenajce. Przed sobą mieli otwartą pustynię. Dalej prosto na północ, do Hatiet el Hetla — studni, gdzie uzupełnili zapasy wody. Stąd ostry skręt na zachód i północny zachód — kierunek na łańcuch wzgórz Dżebel el Akhdar, ciągnący się między Benghazi a Derną, w samym sercu Cyrenajki.

Ogólnie biorąc maszerowali zadziwiająco szybko. 12 września osiągnęli pierwsze wzgórza łańcucha. Mieli za sobą prawie 1500-kilometrową trasę, którą przebyli w 10 zaledwie dni!

Zbliżali się do celu wyprawy. Byli na głębokich tyłach wojsk niemiecko-włoskich, 800 kilometrów za linią frontu. I nikt o nich nie wiedział!

Jeep dowódcy szwadronu, jadącego na czele, zatrzymał się nagle. Podjechał do niego następny wóz, stanął. Patrzyli bez słowa. Świeże ślady czołgów.

— To nie jest przypadek. Tu czołgi nigdy nie zaglądały. Nawet kiedy trzymaliśmy Tobruk. Moi ludzie byli tu przed miesiącem i wówczas żadnych śladów nie było. To nie jest przypadek. Spodziewają się nas i patrolują.

Spojrzeli na siebie.

— Nie ulega wątpliwości. Barmani w Kairze mają dobre uszy.

(d.c.n.)

---

*) Long Range Desert Group.

2) Późniejszy dowódca całości LRDG. Zginął 16. XI. 1943 r. w inwazji na wyspę Leros.

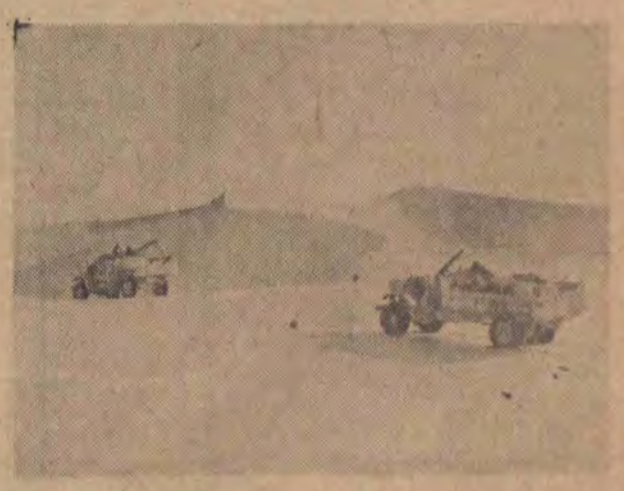

Samochody Grupy Pustynnej Dalekiego Zasięgu na Libijskim Morzu Piaskowym

Bazar

Najmodniejszy obecnie amant Hollywood, Marlon Brando, ożenił się z egzotyczną kobietą — uduchowioną Hinduską Kashfi. Wkrótce jednak okazało się,

GO

Zaverio Roncalli, chłop spod Wenecji, oświadczył, iż nie spodziewa się, aby wybór brata na papieża przyniósł zmianę w jego losie. „Mój brat posiada niewzruszone zasady" — wyjaśnił Zaverio.

* * *

Łatwiej jest zrozumieć ludzkość niż poszczególnych ludzi (La Rochefoucauld).

Burmistrz pewnego miasteczka w zachodnich Niemczech zwrócił się do rady miejskiej z wnioskiem o zakup służbowego roweru. W czasie debaty stwierdzono jednak, iż jeżdżenie na rowerze uchybia godności burmistrza; powinien on mieć samochód. Ponieważ zaś na samochód nie ma pieniędzy w miejskiej kasie — mówiono — niechaj burmistrz chodzi piechotą.

Sądzę, że sposób rozumowania czcigodnych

że małżonka jest Irlandką o nazwisku O'Callaghan i „egzotyka" była mistyfikacją, obliczoną na znany snobizm Marlona. Zawiedziony mąż wystąpił o rozwód, szczegól-

INICJATYWY

LO

POWIEDZIELI

Każdy głupiec znajdzie zawsze głupszego od siebie, który go będzie podziwiał (Boileau).

* * *

To tragiczny zbieg okoliczności, że ludzkość zmuszona jest rozwiązywać problemy kosmosu, zanim jeszcze zdążyła rozwiązać problemy ziemi (John Steinbeck).

* * *

W Birmingham miejscowi „teddy-boys" założyli stowarzyszenie w celu obrony swoich praw, ustalając jednocześnie chuligański kodeks honorowy, obowiązujący członków stowarzyszenia.

* * *

nie dotknięty faktem, iż ulubienica zarabiała na życie pracując w rzeźni.

* * *

Pracownicy ambasady amerykańskiej w Paryżu otrzymali zalecenie, by korzystać z metra. Jest to fragment kampanii przeciwko nadużywaniu samochodów służbowych w placówkach dyplomatycznych w USA.

* * *

Maszynę wyrabiającą śnieg zakupili wspólnie właściciele sklepów w Tampa na Florydzie. Użyją jej w święta Bożego Narodzenia, aby przyprószyć śniegiem dzielnicę handlową.

* * *

NO...

rajców miejskich nie jest obcy naszej mentalności, chociaż u nas — bądźmy sprawiedliwi — nie dotyczy on zwykle zakupu służbowych środków lokomocji. Znajduje za to wyraz w sytuacjach znacznie poważniejszych. Wielu rodaków gotowych jest zbawiać świat czy choćby ojczyznę, a gdy w tej „dziedzinie" nie daje się nic zrobić — nie robią nic. Niestety, tragedia polega na tym, że współczesne społeczeństwa przemysłowe nie wykazują zapotrzebowania na zbawców, lecz na osobników posiadających bardziej prozaiczne, a za to konkretne umiejętności. Realne poczynania w wyższej są zatem cenie niż szumne zamierzenia.

Rzecz charakterystyczna jednak: notatka o oryginalnej decyzji rajców miejskich w sprawie roweru burmistrza obiegła satyryczne rubryki prasy światowej w tym samym czasie, gdy na pierwszych stronach produkowano — tym razem na serio — identyczny typ rozumowania. Minister Rapacki ogłosił nowy plan częściowego rozbrojenia. „To za mało — powiadają krytycy — potrzebne jest generalne rozbrojenie". A że nie ma obecnie szans na generalne rozbrojenie — niechaj burmistrz nadal chodzi piechotą...

Obsesjonista

Tekst: JERZY BIELSKI
Zdjęcia: TR-AF

HALLO! TU TE-LE-FON...

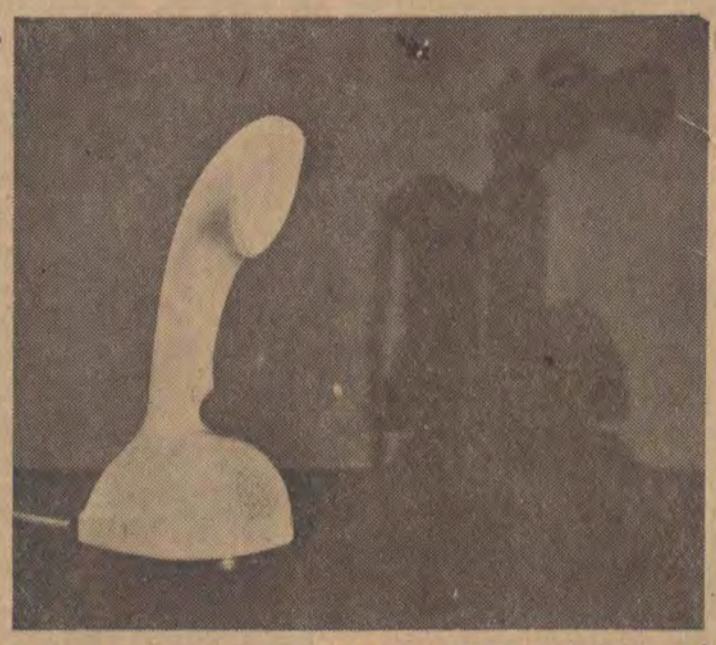

Są powodem częstych qui pro quo, można na nie złorzeczyć, można utyskiwać — nie można jednak zaprzeczyć, że znakomicie nam ułatwiają życie.

Od roku 1876, od czasu, gdy Amerykanin A. W. Bell dokonał wynalazku telefonu, przynosząc tym dzkości doskonałą wygodę — zdążył telefon spowszechnieć. Tak już bywa ze wszystkimi wygodami...

Są jednak ludzie, dla których te rzeczy nie powszednieją. To konstruktorzy. Ci ciągle poszukują za najwłaściwszą — na przykład — i najbardziej dostosowaną do naszych wymagań formą aparatu telefonicznego.

A że niedawno obchodziliśmy czterechsetną rocznicę Poczty Polskiej, zapraszam do bliższego zapoznania się z historią jednej z jej codziennych usług — telefonem.

W sześć lat po wynalazku Bella, pojawiły się te oto aparaty (zdj. nr 1). Duża machina, zawieszona na ścianie, z dzwonkami, ozdóbkami, pulpitem, słuchawką i mikrofonem oddzielnie, z nieodłączną korbką — oto aparat telefoniczny A. D. 1882.

Pierwszy aparat stojący (biurkowy) zjawił się w roku 1892. Modernizacja polegała na tym, że słuchawka była połączona z mikrofonem, spoczywając na okazałych metalowych widełkach. Dzwonki zamieszczone u podstawy aparatu, tylko korbka niezmiennie ta sama. (zdj. nr 2).

Postęp techniczny jest nieustanny. Myśl konstruktorska również. Dzięki skonstruowaniu systemu centralnych baterii można było wyeliminować korbkę z aparatu telefonicznego. Ze względów estetycznych obudowano „wnętrzności" telefonu i tak powstał aparat telefoniczny typ 1909 r. Teraz wystarczyło podnieść słuchawkę z widełek, by odezwała się telefonistka z centrali (zdj. nr 3).

Trzynaście lat musiano czekać jeszcze na automatyzację. I oto w roku 1922 pojawiają się pierwsze aparaty telefoniczne z wbudowaną tarczą numerową. (zdj. nr 4).

Konstruktorzy pracują nadal. Telefon otrzymuje zgrabniejszą, nowocześniejszą obudowę. Znikają ruchome, metalowe widełki. Zastąpione są stałym łożyskiem. Telefon staje się ozdobnym sprzętem, nie tracąc niczego ze swych zalet. Jest bardzo użyteczny. Tę nowoczesność wprowadzono w roku 1931. (zdj. nr 5).

W dwa lata po zakończeniu działań drugiej wojny światowej, pojawiają się nowe typy aparatów telefonicznych. Niewiele różnią się od swych poprzedników sprzed lat szesnastu. Słuchawka otrzymuje tylko ładniejszą linię, bardziej opływową, metalowa tarcza numerowa zamieniona zostaje tarczą z bakelitu, znikają nóżki aparatu. Telefon spoczywa na biurku całą swą płaszczyzną. (zdj. nr 6).

Do dziś i jeszcze chyba dość długo spoczywać będzie na stołach i biurkach typ z roku 1947. Chociaż niejeden z jego poprzedników — i to tych dalszych antenatów — znajduje się w codziennym użyciu nie tylko w małych miastach...

(Dokończenie na str. 11)

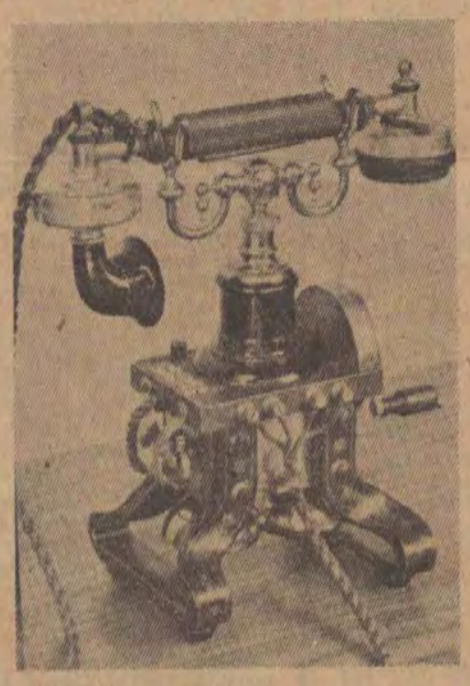

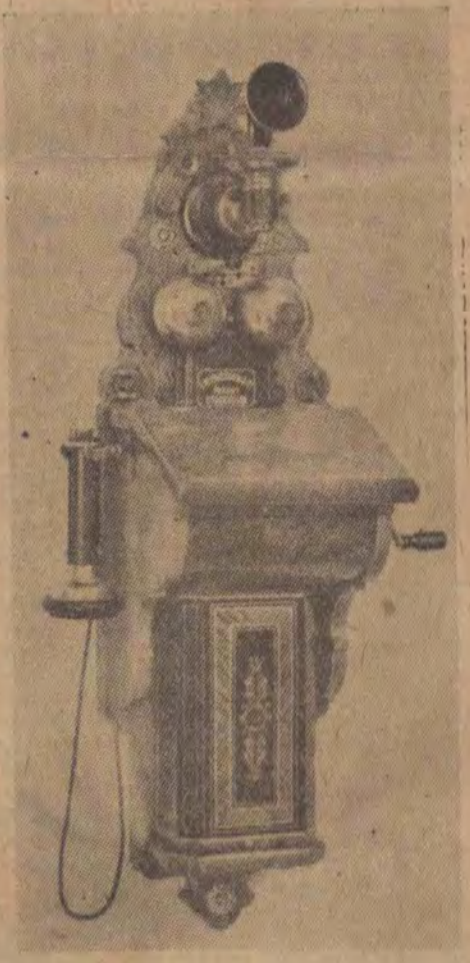

Racjonalnie wykorzystuj godziny pracy biurowej!

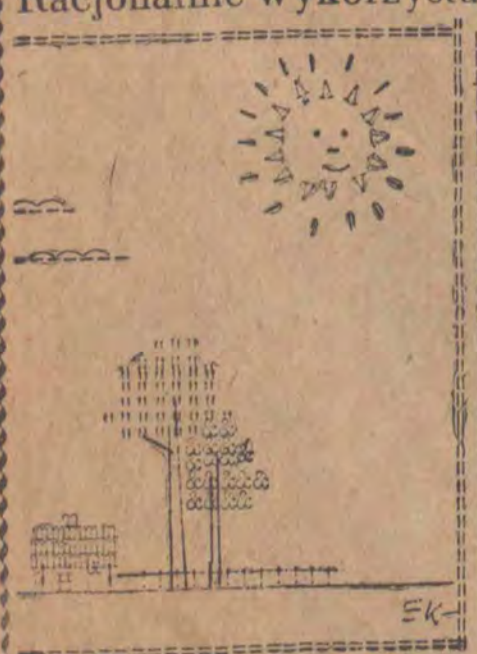

Redaguje Zespół. ○ Wydawca: Wydawnictwo Prasowe „Prasa Łódzka" ○ Adres redakcji: Łódź, Piotrkowska 86. Tel. 244-79. Warunki prenumeraty: miesięcznie 4,- zł, kwartalnie 12,- zł. Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca. ○ Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPiK „Ruch" – Łódź, ul. Roosevelta 17. Konto PKO – Łódź 7 – 6-579 z zaznaczeniem na „Odgłosy".
Druk RSW „Prasa" – Łódź, Żwirki 17. Z. 3519 XII. 58. M-4.

(Dokończenie ze str. 10)

Ale nie zrażeni tym konstruktorzy zademonstrowali nam coś ultranowoczesnego z dziedziny aparatów telefonicznych. Taki „pin-girl" telefoniczny. Przypatrzcie się dobrze. Absolutne zjednoczenie dźwięku, słuchu, mowy i tarczy. Jedna całość i trzeba przyznać zgrabnie wykonana. A jakże przemyślnie! W podstawie aparatu tarcza numerowa. W dolnej części aparatu mikrofon (tak, tak — to są te dziureczki...), a w górze słuchawka, wymodelowana pod każde ucho. Chcecie się połączyć? Podnosicie aparat i już jesteście włączeni do sieci. Guziczek, który sterczy w środku tarczy numerowej — sprawił to.

Ten sam guziczek, gdy odstawicie aparat po skończonej rozmowie, wciśnie się automatycznie do wnętrza tarczy i telefon jest wówczas gotów do przyjęcia sygnału. Po prostu zadzwoni. Fachowcy stwierdzają, że duża wygoda z tym nowym typem aparatu telefonicznego. Bardzo lekki (o połowę lżejszy od dzisiejszego aparatu), bardzo ładny, bo w kilku kolorach wykonany (kość słoniowa, czerwień, zieleń i błękit), bardzo prosty w obsłudze, sznur rozciągliwy do 5 m., można instalować bez specjalnych komplikacji w dotychczasowych rozetkach

itp. kontaktach. Słyszalność doskonała, świetnie trzyma się w ręku. Nawet w rękach cesarsko-królewskich... Prosze spójrzcie na minę cesarza Abisynii — Haile Selassie i króla Szwecji Gustawa Adolfa. Kto, jak kto, ale mo-

narchowie lubią wygodę. Wiadomo.

Sądzę, że od nas samych zależy, by monarsza wygoda zdemokratyzowała się i znalazła się w codziennym użyciu każdego z nas. (zdjęcia nr nr 7, 8, 9.

NAJOSTRZEJSZE OŁÓWKI ŚWIATA

James Thurber

Kto jest najwybitniejszym karykaturzystą współczesnej Ameryki? — Saul Steinberg. A kto jest najpopularniejszym?

Otóż właśnie — nie Steinberg. Wbrew wszelkim pozorom prymat popularności osiągnął w USA inny karykaturzysta. Kto? Poeta, satyryk, krytyk, publicysta — i jednocześnie rysownik: James Thurber. Cała instytucja w jednej osobie 60-letniego pana.

Od 30 lat zamieszcza Thurber w słynnym „New Yorkerze" swe kapitalne żarty. Rysuje tak jakby niewprawnie, nieudolnie — a jednak te rysunki są opłacane przez redaktora Harolda Rossa lepiej, niż prace kogokolwiek innego.

Od 30 lat czytelnicy w USA pasjonują się żartami Thurbera o mężczyznach, kobietach i psach — podczas gdy w Europie, poza Anglią — Thurber jest twórcą prawie całkowicie nieznanym. Nie mówiąc o Polsce...

Być może, groteskowy i absurdalny humor Thurbera nie wszystkim trafi do serca, jak nie każdego bawią zwariowane limeryki (które n. b. Thurber chętnie pisze). Podobnie też może się nie podobać trochę prymitywny rysunek Amerykanina. A jednak owe niby bzdurne dowcipy reprezentują nader oryginalne, choć nie zawsze do przyjęcia — poglądy humorysty.

To nie jest rzeczą przypadku, że w rysunkach tych ludzie są tak nieprawdopodobnie skretyniali. I nie jest przypadkiem, że w tej galerii idiotów — jedyne istoty rzeczywiście sympatyczne — to psy. Smutny, przerażający świat, w którym psy są lepsze, wierniejsze, mądrzejsze — niż ludzie... Tu właśnie kryje się drugie dno twórczości Thurbera, o raczej niepokojącej filozofii...

Jest w tych niewinnych z pozoru rysuneczkach kawał pesymizmu i sporo żółci. Rzecz typowa dla „czarnego humoru" współczesnej Ameryki, który pod płaszczykiem uśmiechu kryje ogromny ładunek szyderstwa i niewiary w człowieka...

J. W.

— On już jest taki od czasu układu w Monachium.

— Tam na górze jest moja pierwsza żona, a tu — obecna pani Harris...

— Mąż ubezpieczył moje życie na sto tysięcy dolarów. Czy on nie jest kochany?

LUNAPARK

7

grudnia

Marcina

głaszamy, iż jesteśmy skłoni kupić składaną stację meteorologiczną — przenośną, na napęd parowy, konny, elektryczny, wodny, benzynowy, korbowy lub nawet pedałowy, z pralką i bez niej, z maglem, suszarką mechaniczną; oraz zautomatyzowaną różą wiatrów — byle na osiach wykluczających użycie wazeliny!

„Nie ogryzaj udek kurczaka, nie ściągnąwszy skórkowych rękawiczek".

KALENDARZYK TYGODNIA: Zawiadamiamy, iż z powodu unieruchomienia przyrządów pomiarowych naszej lokalnej stacji hydro-meteorologicznej na skutek ich jesiennego zaśniedzenia, wszelkie komunikaty co do stanu pogody i wód, jakoteż przewidywania i omówienia, zamieszczane będą dopiero po usunięciu ciężkich awaryj z zaśniedzenia wynikłych. Wszystkie zmiany kierunków wiatrów i nasycenia wilgotnością, jakoteż perturbacje zachmurzenia i temperatury prosimy konstatować na własnej skórze i przy pomocy przyrządów własnych.

Przy sposobności o-

Kamerdyner Bomba: Rozścielilem koc na mrowisku. (Dalszy ciąg na życzenie czytelników?)

EROTYZM W FILMIE

Czterokrotnie odrzucony przez warszawską redakcję tekstów oraz pięciokrotnie przeznaczony do ponownej przeróbki przez łódzką komisję kolaudacyjną, składającą się z stu czterdziestu pięciu doradców i czterech dyrektorów — korespondentów — przykry finał pojedynku zmysłów, rozegranego przez Kamerdynera Bombę i ordynatową Stefanię (patrz poprzednie nry):

Stefania: Ze ino, ze ino, fijołecku leśny, comuześ się nie rozwinął wcześnij?

Kamerdyner Bomba: Sapieruna!

Stefania: Co się stało? Nie dość, że serce moje krzyczy, to ty krzyczysz.

Kamerdyner Bomba: Cokoj! zarutko będzies krzycała, ze hej.

Stefania: No, to niech krzyczę. Niech wezbrane naczynie uczuć przelewa się. Niech się szala przeważy. Niech czara pryska. Niech puchar spełnia się!... Niech zaszumi wezbrany ocean szczęścia.

Kamerdyner Bomba: Zeby to buło na morzu, ferchluchtmal, to bych nic nie rzykoł, ale to jest na lądzie, sapieruna!

Stefania: Dlaczego przywodzisz me rozpętane zmysły do przytomności?

Horoskopy Lunaparku

Gwiazdozbiór „Strzelec" jest znakiem żywiołowości i siły. Osobnicy urodzeni pod tym znakiem przejawiają zamiłowanie do żeglugi, sportu, hodowli koni, ale i napoi spirytusowych. Wystrzegać się jednak winni niewstrzemięźliwości w użyciu tych napoi zarówno w żegludze morskiej, napowietrznej, śródlądowej, słodkowodnej, jak i w wychowie koni i obrocie nimi, dalej: w łyżwiarstwie, boksie, w strzelaniu ostrymi i ślepymi nabojami, gdyż przeważająca ilość nieszczęśliwych wypadków — w nieostrożnym obchodzeniu się bronią, wyczynostwie, podkuwaniu letnim i na ostro — itd. nie tyle z przypadku bierze swój początek, co z karygodnego nieumiarkowania w piciu. Gdybyśmy wówczas zapytali: lotników; kopniętych hodowców koni; żeglarzy wypadłych za burty lub wręcz za nie wyrzuconych; łyżwiarzy; znakomitych pływaków — chociaż urodzonych w nocy z soboty na niedzielę — pod znakiem Jowisza! przeto obdarzonych wielką siłą fizyczną, przeto będących w możności opanowania wszystkich sytuacji wymagających użycia siły: co stało się przyczyną ich nieszczęściom, nic innego by nam nie odpowiedzieli, jeno wskazaliby na niepowściągliwość.

Dalszy ciąg horoskopu ludzi urodzonych pomiędzy 21. XI a 22.XII w następnym nrze.

WYTNIJ - SCHOWAJ!

SENNIK egipski

DALSZY CIĄG

B.

Burzę słyszeć — domowy niepokój. 12, 16.

Butersznit — dobre przyjęcie czeka cię. 17, 35.

Buty nowe — daleka podróż. 50.

Buty stare — utrata kredytu. 90.

Bydlo chude — niedostatek. 58, 68.

Byk — bliskie wesele. 8, 16.

Uwaga!!!

Prawidłowe rozwiązanie Quizu „moje włosy świadczą o mnie", oraz przyznane, w drodze losowania, nagrody książkowe podamy w następnym numerze BAZARU.

Lunapark redaguje Zygmunt Fijas. Adres redakcji: Łódź, Piotrkowska 96. Listy prosimy kierować: „Odgłosy" z adnotacją: „Dla Lunaparku".

Mieszanka filmowa

Co gwiazdy sądzą o nudyzmie?

Przytaczamy naszym czytelnikom kilka bardziej charakterystycznych wypowiedzi.

Michele Morgan:

Nie, ja wam nie odpowiem. Doprawdy, nie mam żadnych poglądów na ten temat. Jeśli spacerowanie nago bawi tych ludzi — to proszę bardzo. Ja, osobiście nie odczuwam w tym kierunku żadnej potrzeby. Dostatecznie przeraża mnie myśl o spotkaniu ludzi na ulicy, nawet wówczas, gdy jestem zapięta od stóp do głów. A gdybym musiała się pokazać w najskromniejszym ze strojów? Nawet myśleć o tym nie chcę!

Henri Vidal (Potępieńcy):

To mnie wcale nie krępuje. Nie uznaję wstydliwości, a tym bardziej pruderii. Wszystkie pory skóry winny oddychać i nudyzm wydaje mi się higieniczny.

Francoise Arnoul (French cancan, Na trasie do Bordeaux):

Dlaczegóżby nie? Jedno jest pewne, popieram chodzenie boso. Jak w Japonii. Tam, nie uznają pantofli. Wróciwszy do domu, natychmiast zdejmuję obuwie. To wszystko, na co sobie pozwalam. Powiecie, że to początek. „Sex" na ekranie? Bah! Uważam, że Marilyn Monroe reprezentuje najwięcej „sexu", a jednak ona jest zawsze zupełnie ubrana.

A więc...

Mylene Demongeot (Czarownice z Salem):

Wszelka jednakowość, życie kolektywne i ekshibicjonizm budzą we mnie odrazę, lecz nie znam wyspy Lewant i nie mogę wam powiedzieć co myślę na ten temat. Rozumiem przyjemność samotnego campingowania, lecz nie w całym miasteczku namiotów. Podobnie musi być i z nudyzmem. U siebie w domu zawsze spaceruję nago. To samo czyni mój mąż. I nawet przy dzieciach nie zmieniamy naszych obyczajów. Zresztą, w ich własnym interesie.

Za tydzień:
wypowiedzi polskich gwiazd o nudyźmie... (mówi B. Kwiatkowska, R. Polański i Z. Cybulski)

Jeanne Moreau (Królowa Margot):

Nie bywam ani u jarosz ani u nudystów. Cóż to są za ludzie, którzy zapominają o rozkoszach stołu i unicestwiają pożądanie? Ileż było uroku w tym, że widok kobiecej łydki podniecał mężczyzn ubiegłego stulecia. Taka wystawa ludzkiego ciała musi być w istocie obrzydliwa. Jestem natomiast za nagością na ekranie, wówczas, gdy nie jest ona „nie uzasadniona". Mężczyźni lubią patrzeć na ładne kobiety. To normalne. No nie?

Nicole Courcel (Mama, tata itd., Klub kobiet):

Nie jestem przeciw nudyzmowi. Sama, też bym go mogła z całą pewnością uprawiać. To by zależało od otoczenia, przyjaciół itd. Zgodziłabym się występować nago w jakimś filmie, lecz pod warunkiem, że scena ta wynikałaby z sensu filmu. Widziałam film „Na wypadek nieszczęścia" i wcale nie byłam nim zaszokowana. Wprost przeciwnie".

Danielle Darrieux:

W mojej posiadłości robię co mi się podoba i to mi wystarcza. Nudyzm? Co to znaczy? Powiedzcie mi o jakimś dobrym filmie a podyskutujemy na ten temat dłużej. Ja przede wszystkim zajmuję się filmem.

MARIA KORNATOWSKA

EDWARD ETLER

Dwoje z wielkiej rzeki

Oświadczam ze skruchą, że będę bronił autora filmu „Dwoje z wielkiej rzeki". A będę czynić to nie z przekory, i nie dlatego, aby było oryginalniej. Bronić będę — gdyż film Nałęckiego stał się tematem okolicznościowych recenzyjek, gdy tymczasem stanowi on nieomal zagadnienie — coś na kształt i podobieństwo nader istotnego problemu.

* * *

Każdego widza, choćby nawet się nudził i przez to obraz uważał za kiepski — uderza jednak rzetelność reżyserskiej pracy. Rzetelność tę — tym bardziej łatwiej dostrzegają ludzie wyznający się co nieco w sprawach filmowego rzemiosła. Ujęcia w których „grająca" akcja dzieje się na kilku planach — to dla widza jedynie sceny ujmujące pod względem wizualnym. Filmowiec dostrzega zaraz więcej. Wie bowiem jak olbrzymiego wkładu pracy i jakiej organizacji wymaga nakręcenie tego typu rzeczy. Teraz widzimy, że prawdopodobnie, w oparciu o tę samą nieszczęsną (bo pechową) nowelę Błahija — można było nakręcić lepszy film — przy udziale dużo skromniejszych środków. Teraz, ale wtedy? Nie zapominajmy bowiem, że „Dwoje z wielkiej rzeki" to film nakręcany niezwykle długo. A to nie przez czyjąkolwiek opieszałość, ale przez wyjątkowo niemiłe zrządzenie losu.

Na początku był w tym filmie problem antagonizmów narodowościowych. Ściślej — antagonizmów polsko - niemieckich. Stary Veit miał za złe swojej córce Elzie, że sobie przydybała Polaka, a vice versa — stary Wiślak nie mógł przebaczyć Jankowi, że się podkochuje w Niemce. Rzeczony problem — bardzo wyraźnie nakreślony w pierwszej wersji scenariusza postanawiono usunąć, jako że dziś już on nie istnieje (...) Przy okazji zmieniono także wykonawczynię roli Elze), wprowadzając do filmu Barbarę Wrzesińską. Wypada nadmienić, że owo drugie pociągnięcie uznać należy za słuszne.

Nowy problem — obmyślony jak się zdaje na kolanie — i dokręcony za małe pieniądze; w pośpiechu — nie wytrzymuje — niestety — krytyki. Jest zbyt błahy — aby osadzić w nim resztki pozostałe z Błahija. I na dobrą sprawę trudno widzowi pojąć, dlaczego obaj ojcowie nie okazują oznak zachwytu na wieść o zamierzonym ożenku. Odpadł powód — pozostała jednakże sytuacja, która w obecnym kontekście absolutnie już się nie tłumaczy. Jaką winę ponosi w tym wypadku debiutujący (w rodzaju fabularnym) reżyser? Wydaje się, że znikomą. Zrobił wszystko co mógł — z wartą uwagi starannością, która nie zawsze przecież cechuje prace debiutantów. Może więc zawinił opiekun artystyczny filmu? Nie sądzę. Film przegrał, bo miał oczywistego pecha. Inaczej tego określić nie sposób. Teraz już łatwo odgadnąć — że ten obraz winien być pomyślany inaczej. Że na tle leniwej monotonii wodniackiego dnia mógł sobie pięknie zakwitać erotyzm. Ale znów nie zapominajmy, że cała obecna oprawa, powaga i serio-nuda — to jeszcze otoczka starego problemu.., tego problemu, którego w filmie już nie ma... Można było — rozumiem kłopot reżysera — wobec nowych dyrektyw — przekręcić na nowo tę czy inną scenę. Ale nie można było powtarzać całego filmu! Styl musiał być utrzymany, wymagały tego prawidła konsekwencji. I w tym właśnie zguba.

Udało się reżyserowi oddać rzecz najważniejszą. Najważniejszą przynajmniej w rozumieniu sensu rzeczy: — nastrój. Jest w tym filmie dużo prawdopodobieństwa szczegółów. (Niestety — prawdopodobieństwo to nie obejmuje akcji). Nawet akcent wymowy zanotowany został z ogromną pieczołowitością, która zapewne stanowić miała o egzotyzmie. Tylko niestety nawet ten drobiazg (słusznego w zasadzie założenia) stanął w sprzeczności z sensem... Właśnie dzięki autentycznemu akcentowi połączonemu ze znanymi walorami krajowego dźwięku — nikt na widowni nie jest w stanie pojąć o czym mówią bohaterowie filmu... Jest to jeszcze jeden najbardziej oczywisty pech.

Równocześnie zarówno reżyser (Konrad Nałęcki) jak operator (Stefan Matyjaszkiewicz) pokazali kawałek dobrej — bo uczciwej pracy. Mimo że „Dwoje z wielkiej rzeki" — to obiektywnie biorąc — film nieudany — jednakże wypada podkreślić, iż w osobie Nałęckiego przybył naszej kinematografii utalentowany twórca filmowy, mający na swoim koncie dwa najlepsze filmy o sztuce jakie kiedykolwiek nakręcono w Polsce (film o Makowskim i film o malarstwie Andrzeja Wróblewskiego).

* * *

Wypada ustalić właściwe proporcje dla filmu Konrada Nałęckiego. Osiągnąć to można w sposób dwojaki: 1) znając warunki, towarzyszące powstawaniu obrazu, 2) klasyfikując rzecz w oparciu o pożyteczną metodę porozumienia. Teraz, gdy toczy się akurat w kinie „Adria" tzw. Festiwal Filmów Polskich — porównanie nie powinno spowodować zbyt poważnych trudności. Wśród reprezentowanych chał i arcydzieł — film „Dwoje z wielkiej rzeki" znalazłby się gdzieś w środku. Jak na pechowego debiutanta — nie jest to pozycja najgorsza.

B. Bilewski w filmie „Rancho"

Z filmu „Lotna"

Fotografował Antoni Nurzyński ZAF

Okienko ludzi Sympatycznych

Wytrwali Czytelnicy naszego pisma pamiętają — przypuszczam — tę rubrykę. Okienko — przywrócono dziś życiu — zrezygnowało jednakże ze swoich dawnych funkcji polegających na prezentacji określonych osób. Skromne okienkowe ramy wobec wciąż poszerzającego się grona ludzi sympatycznych — okazały się zbyt szczupłe. Dlatego nowe okienko wprowadza nową formę działalności. Obecnie okienko będzie jakby kroniką życia ludzi sympatycznych. Będzie odpowiadało na pytanie — co robią? Nad czym pracują? W jakich przebywają wojażach? A więc:

JERZY NOWOSIELSKI, artysta - malarz, profesor Wyższej Szkoły Sztuk Plastycznych w Łodzi — wyjechał właśnie do Paryża, gdzie przebywać będzie prawdopodobnie do połowy stycznia. Równocześnie prace p. Nowosielskiego reprezentować będą polską plastykę współczesną na wystawie w Moskwie. Na tej samej wystawie znajdą się także prace innego łodzianina — p. Krawczyka.

MIROSŁAW STASIK, łodzianin, doktor medycyny, bije rekordy. Nim to opiszemy wypada jednakże przedrukować notatkę, która ukazała się w tyg. „Motor" wraz z atrakcyjnym zdjęciem. Oto ona:

„Jean Sunny (Francja) startując na wozie seryjnej produkcji pobił rekord świata w jeździe na... dwóch kołach. Wynik: 78 m 40 cm. Poprzedni rekord należał do John Hamiltona (USA) i wynosił 76 m".

Ciekawe, że autor owej notatki nie wziął pod uwagę krajowego rekordu, należącego do doktora Stasika. Rekord ów ustalony został mimochodem na somochodzie typu „Spartak" (wóz seryjny) podczas brania pewnego zakrętu. „Spartak" p. doktora przebył ok. 90 metrów jako pojazd jednośladowy. W tym czasie przypadkowi pasażerowie pojazdu zadawali sobie denerwujące pytanie, na którym boku to się skończy. Ostateczny — pomyślny wynik imprezy — zanotowany został komisyjnie, co pozwala nam prosić redaktorów sympatycznego tygodnika „Motor" o pomieszczenie odpowiedniego sprostowania.

Na dziś wystarczy. Łaskawych Czytelników prosimy o współpracę, wyrażającą się w nadsyłaniu do „Okienka" informacji, tyczących się dalszych sympatycznych ludzi. Czekamy!